Tomasz Jędrzejewicz o swoim ojcu Wacławie. Anegdoty.

Tomasz Jędrzejewicz *(Austin, Teksas)*



Wacław Jędrsejewicz, minister w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Warszawa 1934 r., fot. Willem van de Poll, wikimedia commons

1951-1952

Pewnego razu podczas rozmowy z ojcem wspomniałem, że jeden z moich kolegów z klasy miał brata, który właśnie dostał pracę jako kierowca buldożera przy różnych pracach budowlanych. Powiedziałem ojcu, że jego pensja wyniesie 25 dolarów za godzinę, czyli około 10 000 rocznie. To była wtedy bardzo

imponująca suma. Zastanawiałem się, czy nie powinienem takiego zajęcia wziąć pod uwagę. Spodziewałem się, że mój ojciec wymyśli wszelkiego rodzaju argumenty, aby mnie odwieźć od tego pomysłu. Zamiast tego mój ojciec po prostu powiedział: *I co wtedy? Co dalej będziesz robił?*

I wtedy przeszła mi ochota, aby zostać operatorem buldożera.

*

1951-1952. Kierownictwo w szkole.

W liceum byłem w drużynie lekkoatletycznej, a mój ojciec bardzo wspierał różne zajęcia sportowe. Kiedyś moje oceny w szkole znacznie spadły. Ojciec niewiele mi o tym mówił, ale najwyraźniej nie był zadowolony. Zamiast tego rozmawiał z dyrektorem szkoły. Wkrótce potem dyrektor szkoły powiedział mi, że nie mogę być w drużynie, dopóki moje oceny się nie poprawią.

Moje oceny więc się szybko poprawiły i wróciłem do drużyny.

*

Reduta Ordona

Gdzieś na początku lat czterdziestych moja mama powiedziała mi, że mój ojciec zapamiętał ten wiersz jako mały chłopiec i wyrecytował go dla przyjaciół i gości rodziny. To zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Chciałem być taki, jak mój ojciec, więc również nauczyłem się tego wiersza na pamięć i pamiętam go do dziś. Mam mgliste wspomnienie, że recytowałem je również dla jakiegoś gościa lub przyjaciół rodziny.

*

1948-1952. Przykład planowania.

Mój ojciec spędzał dużo czasu pracując przy biurku w domu. Kiedyś zapytałem go, jak zaplanował swoją następną lekcję. Spojrzał na mnie i po prostu powiedział: *Mam zaplanowany cały rok z góry. Teraz po prostu przeglądam swój plan przed każdą lekcją, a potem idę do klasy i uczę.* To był doskonały przykład planowania, próbowałem później zrobić to samo, czasami mi się udawało.

*

1949-1950. **Nauczanie języka rosyjskiego**.

W Wellesley College jednym z problemów, jakie mieli jego uczniowie, była prawidłowa wymowa rosyjskich słów. Problem

ten jest wspólny dla uczniów języków obcych. Aby nie tracić zbyt wiele czasu w klasie, mój ojciec kupił magnetofon, żeby uczniowie mogli usłyszeć, jak wymawiają słowa i naprawić swoje błędy. Być może był to jeden z pierwszych przypadków użycia magnetofonu w celu ułatwienia opanowania języka obcego.

Jako profesor rosyjskiego w *Wellesley College* prenumerował rosyjską gazetę „Prawda". Następnie wybierał określone artykuły i zlecał swoim bardziej zaawansowanym uczniom przetłumaczenie ich na język angielski. Następnie wysłał tłumaczenie do działu historii, aby porównać rosyjską wersję wiadomości z naszymi wersjami. Spowodowało to ożywioną dyskusję na temat jak przedstawiano współczesne wydarzenia w Rosji, a jak w Ameryce.

*

Wielka radziecka encyklopedia

Ojciec zamówił też Wielką Encyklopedię Radziecką dla biblioteki uniwersyteckiej i ten ogromny, około 40-tomowy zestaw (wszystko było większe i lepsze w Rosji) znalazł się w *College'u*. Stosował tę samą technikę, jego studenci tłumaczyli wybrane artykuły, a następnie różni eksperci uniwersyteccy porównali je z naszymi wersjami. To wywołało podobne dyskusje między różnicami w podawaniu historii w Rosji i na świecie.

*

Taniec na scenie

Wellesley College co roku organizował występ, w którym wykonawcy byli profesorami wydziału. Na jednym z nich zobaczyłem mojego ojca w typowym góralskim stroju, z ciupagą, jak tańczy tradycyjny taniec góralski. To naprawdę mnie zaskoczyło, ponieważ nigdy nie widziałem, żeby mój ojciec robił takie głupie rzeczy.

*

Nauczanie o kulturze polskiej w USA

Jako profesor literatury rosyjskiej w *Ripon College* w Wisconsin zorganizował wieczorny program wykładowo-recitalowy o Chopinie. Mój ojciec był wykładowcą, a Kazimierz Krance pianistą. Program okazał się wielkim sukcesem i był wielokrotnie powtarzany. Mam rękopis jego wykładu i uważam, że był to inspirujący program.

*



Major Wacław Jędrzejewicz, Tokio 1928, fot. arch. T. Jędrzejewicza



Wacław Jędrzejewicz i Masabumi Yamawaki, 1925 r., fot. arch. T. Jędrzejewicza

Japońska kultura

Mój ojciec był polskim *attaché* wojskowym w Japonii od 1925 do 1928 roku i nie tylko nauczył się języka japońskiego, ale także lubił i szanował japońską kulturę ze wszystkimi jej tradycjami, z których niektóre były inspirujące, a niektóre krępujące.

• Żenujące: w małej restauracji, w której on i japoński oficer zatrzymali się, aby zjeść, gdy weszli, na macie spała piękna Japonka, całkiem naga. Kiedy weszli, wstała i zaczęła poprawiać włosy. Japoński oficer nie zwracał na nią uwagi, podczas gdy mój

ojciec wciąż się na nią gapił. To sprawiło, że mój ojciec poczuł się jak barbarzyńca.

• Inspirujące: mój ojciec interesował się japońską dyscypliną wojskową. Jak wyjaśnił japoński oficer, jedną z podstawowych zasad armii, którą poznawał każdy żołnierz, było: „Obowiązek jest cięższy od góry, ale śmierć lżejsza od ptasich piór".

• Przyjemne: Mam jego zdjęcia w tradycyjnych japońskich strojach, grającego na instrumencie muzycznym koto.

• Prezent pożegnalny od japońskiego sztabu generalnego: japońscy dyplomaci i wojskowi szanowali mojego ojca, a on ich szanował. Jako prezent, podarowali mu katanę, miecz samuraja, zamiast lakierowanych pudełek lub japońskich obrazów, jak to było przyjęte w przypadku dostojników z innych krajów. Był to prawdopodobnie najbardziej pamiętny prezent, jaki kiedykolwiek otrzymał. Zaginął na początku II wojny światowej.

*

Wędrówki i zwiedzanie Japonii

Japonia to bardzo piękny kraj z wieloma górami i szlakami turystycznymi. Mój ojciec bardzo lubił ten kraj, był na szczycie Góry. Fuji oraz w innych znanych miejscach.

Był pod wrażeniem tego, że na niektórych trudnych szlakach spotykało się pomocników, którzy pomagali wędrowcom przejść przez trudne miejsca. Taki asystent był wyposażony w słupek z zakrzywionym oparciem, umieszczony w dolnej części pleców wędrowca, a pomocnik zapewniał wystarczającą ilość pchnięć, aby ułatwić wspinaczkę.

*

Utrzymywanie kontaktu ze znajomymi

Mój ojciec utrzymywał kontakt z wieloma przyjaciółmi. Jednak zaskakujące były listy, które wymienił z japońskim oficerem, przyjacielem z czasów, które spędził w Japonii. Znalazłem kartkę świąteczną, którą dostał prawdopodobnie w latach 60. Po tylu latach nadal utrzymywali kontakt.

Nigdy nie byłem tak pracowity.

*

Jedzenie

Mój ojciec był specjalistą od bigosu. Miał przepis, który wszyscy nasi goście uważali, że jest znakomity. Mam jego przepis i kilkakrotnie robiąc go podczas imprezy – bigos „cook-off”,

organizowanym przez Towarzystwo Polskie w Austin zdobyłem I lub II nagrodę.

Gdy mieszkaliśmy w Wellesley, w Nowym Jorku czy później Cheshire CT, robił też własną cytrynówkę. Tradycją stało się podawanie jej w kryształowej karafce z lodem, czego przestrzegał.

Jego setne urodziny w Cheshire CT były wielkim wydarzeniem i reporter lokalnej gazety zapytał go, co jest przyczyną, że wciąż ma dobry stan zdrowia. Mój ojciec wtedy odpowiedział: *jeden drink dziennie, a dwa, to nawet lepiej.*

*

Odznaczenia wojskowe

Mój ojciec otrzymał 11 odznaczeń wojskowych od wojska polskiego i 15 odznaczeń z innych krajów. Mam jego polskie odznaczenia i kilka innych. Najbardziej dumny był ze swojego Virtuti Militari i miniaturę tego odznaczenia nosił na klapie garnituru, podczas ważnych uroczystości.

*

O powrocie do Polski

Temat powrotu mojego ojca do Polski pojawiał się stosunkowo często i w czasach PRL po prostu odmawiał, mówiąc, że „nie pozwolę komunistycznemu rządowi użyć mnie jako narzędzia propagandowego”.

Później, gdy Lech Wałęsa odwiedził Nowy Jork, a ojciec został awansowany na generała i otrzymał ważny polski paszport, znowu pojawiło się to samo pytanie. Na początku był zaintrygowany tym pomysłem. Potem pojawiły się powody do obaw.

1. Polska opieka medyczna nie była doskonała.

2. Powiedział: Wszyscy moi starzy przyjaciele w Polsce nie żyją. Będę całkiem sam.

Zobacz też:

> Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

„Wychowaj dzieci z szacunkiem do przeszłości” – Tomasz Jędrzejewicz o swoim ojcu



Tomasz Jędrzejewicz podczas spotkania 21 marca 2021 roku przez platformę Zoom

TOMASZ JĘDRZEJEWICZ – syn Wacława Jędrzejewicza przedwojennego ministra w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pomysłodawcy i założyciela Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, bratanek premiera Janusza Jędrzejewicza, szwagier Andrzeja Becka – syna ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka. 21 marca 2021 r. w ramach spotkań Klubu Historyka Austin Polish Society, pod patronatem magazynu „Culture Avenue” odbyło się spotkanie on-line na temat historii nowojorskiego Instytutu Piłsudskiego. Po niezwykle interesującej prelekcji pani dyrektor dr Iwony

Korgi na temat historii tej placówki i ludzi z nią związanych, uczestnicy spotkania mieli okazję usłyszeć jak swojego ojca wspomina jego syn, Tomasz.

Tomasz Jędrzejewicz *(Austin, Teksas)*

Moja najbliższa rodzina składała się z mojego ojca Wacława, matki Jadwigi i starszej siostry Ewy.

Ojciec urodził się na Ukrainie, z polskich rodziców. Rodzina przeniosła się do Warszawy, gdy mój ojciec miał 10 lat, w 1903 r. Ukończył Liceum im. Chrzanowskiego w Warszawie w 1913 r. Potem dołączył do strzelców marszałka Józefa Piłsudskiego, rozpoczynając jednocześnie studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Stwierdził, że „fascynowała go idea wykorzystania działań paramilitarnych jako środka do odzyskania niepodległości Polski". To był początek obszernego szkolenia wojskowego.

Był oficerem Wojska Polskiego w czasie I wojny światowej, od 13 lipca 1917 r. – 19 lipca 1918 r. Dostał się w tym czasie do niewoli niemieckiej.

W listopadzie 1918 roku mój ojciec wstąpił do sekcji wywiadu

polskiego Sztabu Generalnego. Zbiegło się to z nominacją Piłsudskiego na Naczelnego Wodza Wojska Polskiego przez Radę Regencyjną. W 1919 roku stał się ekspertem od Rosji radzieckiej, a znajomość języka rosyjskiego, zdobyta podczas wczesnej edukacji na Ukrainie, bardzo mu w tym pomogła. Mój ojciec kontynuował pracę na stanowiskach wojskowych w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Został schwytany przez Kozaków podczas misji 14 lipca 1920 r. Na szczęście zdołał uciec podczas marszu więźniów 22 lipca. Udało mu się wrócić do służby, a w listopadzie 1920 i marcu 1921 roku służył jako członek Delegacji Polskiej podczas rozmów pokojowych z Rosją w Rydze. 11 września 1921 r. Marszałek Piłsudski odznaczył mojego ojca krzyżem Virtuti Militari (najwyższe polskie odznaczenie za odwagę).



Ppłk. Wacław Jędrzejewicz dekoruje japońskich oficerów

krzyżem Virtuti Military za waleczność podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Krzyz Virtuti Militari otrzymują admirał Keisuke Okodo (z prawej) i premier Giichi Tanaka (z lewej), 1928 r., fot. arch. Tomasza Jędrzejewicza.
W 1925 roku mój ojciec mieszkał w Japonii, gdzie objął stanowisko polskiego *attaché* wojskowego, a później został *Charge d'Affairs.*

Po powrocie do Warszawy w 1928 roku Marszałek Piłsudski skierował mojego ojca do pracy cywilnej. Przez następne pięć lat ojciec był zastępcą dyrektora i dyrektorem Wydziału Konsularnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a w 1933 r. został przeniesiony do Departamentu Skarbu. W tym samym roku mój stryj, Janusz Jędrzejewicz został premierem Polski. Jego program reformy polskiego szkolnictwa wymagał więcej czasu na realizację, niż wcześniej planowano. Aby przeprowadzić tę reformę, stryj mianował mojego ojca ministrem oświaty. Reforma została wdrożona, a mój ojciec powiedział mi później, że dzięki temu polski system edukacji osiągnął taki sam wysoki poziom, jak ówczesna Francja.

To właśnie w tych pracowitych latach mój ojciec założył rodzinę. Moja mama Jadwiga Puławska uzyskała dyplom lekarza dentysty, ale od 1915 r. służyła w Polskiej Organizacji Wojskowej pod pseudonimem Giga. Brała udział w akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom i była tajnym kurierem w różnych operacjach

szpiegowskich przeciwko Niemcom i Rosjanom. Aresztowana przez Niemców i oskarżona o szpiegostwo, podczas przesłuchań nic nie ujawniła. Za zasługi została odznaczona Krzyżem Niepodległości z Mieczami i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Mój ojciec i mama pobrali się w 1931 roku, moja siostra Ewa urodziła się w 1932 roku, a ja w 1934 roku.

Po śmierci Piłsudskiego mój ojciec wycofał się z aktywnego życia politycznego. Pełnił funkcję sekretarza generalnego Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości, a także nadzorował polską wystawę podczas Światowej Wystawy w Paryżu w 1937 roku (prekursor dzisiejszych Światowych Targów). Pawilon Polski został nagrodzony Złotym Medalem.

Ojciec zajmował się też nadzorowaniem budowy naszego domu, współpracą z organizacjami kombatantów i pisaniem wspomnień ze służby wojskowej.

1 września Niemcy napadły na Polskę, a 17 września Związek Radziecki zaatakował nasz kraj od wschodu. Mój ojciec starał się, aby go powołano ponownie do czynnej służby, ale 5 września rząd opuścił Warszawę, więc on wyjechał wraz z rządem. Tata załatwił, abyśmy ja, moja siostra, mama i nasza niania pojechali do majątku bliskiego przyjaciela pod Wilnem. To pożegnanie było początkiem separacji rodzinnej, która trwała do 1947 roku. Mój

ojciec brał udział w ewakuacji polskiego Funduszu Obrony Narodowej, który dostarczył do Francji. Sam następnie przedostał się do Anglii.

Moja mama, siostra i ja osiedliliśmy się początkowo w Orwidowie koło Wilna w dość prymitywnych warunkach. Po 17 września znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką. Moja mama nie wiedziała, gdzie jest mój ojciec, ale pisała listy do przyjaciół w różnych miastach i różnych ambasadach, mając nadzieję, że niektórzy z nich mogą zlokalizować mojego ojca. Ostatecznie w grudniu nawiązali kontakt, ale na poczcie wojennej nie można było polegać, bo tylko około jedna trzecia listów dotarła do nas lub do mojego ojca.

Warunki w Orwidowie były wyjątkowo trudne i moja mama w końcu znalazła pokój w klasztorze w Wilnie, gdzie cała nasza czwórka mogła się tam przenieść. W czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowali Związek Radziecki i znaleźliśmy się tym razem pod okupacją niemiecką. Niestety wtedy ustała też wszelka komunikacja z moim ojcem.

Zanim Niemcy wkroczyli do Wilna, Sowieci systematycznie deportowali Polaków na Syberię lub do innych wschodnich prowincji, a my byliśmy spakowani i gotowi na wywózkę. Wtedy przyszedł do nas funkcjonariusz NKWD, poprosił o dokumenty, sprawdził listę i powiedział, że nie ma nas na liście. Mieliśmy

ogromne szczęście, ponieważ bardzo duży procent deportowanych przeżył nie dłużej niż rok.

Po wejściu Niemców przenieśliśmy się do małego miasteczka Wasiliszki. Moja mama dzieliła gabinet dentystyczny z dentystką żydowskiego pochodzenia, której pozwolono wykonywać zawód, ale musiała codziennie wracać do getta. Moja matka dzieki tej pracy mogłą mieć jakiś dochód. Niemniej jednak oznaki wojny i brutalnej okupacji były codziennie widoczne. Pewnego dnia Niemcy *(Einsatzgruppen)* wjechali na wiejski plac, zebrali wszystkich Żydów z getta, wyprowadzili ich na cmentarz żydowski i zamordowali. Następnego dnia wyszli i udali się do innej wioski. Żydowska dentystka nie pojawiła się już więcej w gabinecie.

Matka w maju 1944 r. postanowiła wrócić do Warszawy. Przenieśliśmy się do mieszkania jej siostry na Mokotowie. Mam żywe wspomnienia z wydarzeń z 1 sierpnia 1944 r. O godzinie 17:00 żołnierze Armii Krajowej przemieszczali się szybko ulicą wzdłuż ścian budynków, a gdy doszli do skrzyżowania, dowódca wskazał budynek naprzeciw i wszyscy żołnierze pobiegli w tym kierunku. Padły strzały. To był początek Powstania Warszawskiego. Walki toczyły się w całym mieście. Pamiętam w następnych dniach wspinaczkę na dach naszego budynku, a kiedy się rozglądałem, wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem płomienie.

Nasza dzielnica została wkrótce odbita przez Niemców i pewnego ranka wysiedlono nas i kazano nam podążać za strażnikami stacjonującymi na ulicach. Szliśmy i szliśmy godzinami. Po południu mama, która mówiła dobrze po niemiecku, zatrzymała się i poprosiła niemieckich strażników, czy moglibyśmy trochę odpocząć. Żołnierz kazał jej iść w stronę lasu, bo następny patrol był patrolem SS, który wysyłał ludzi do obozów koncentracyjnych. Odeszliśmy więc zgodnie z instrukcją, zatrzymując się na farmach lub w stodołach, gdzie tylko mogliśmy.



Podpisanie Konstytucji przez prezydenta RP Ignacego

Mościckiego w Sali Rycerskiej na Zamku Królewskim. Trzeci od prawej – Wacław Jędrzejewicz – minister wyznań religjnych i oświecenia publicznego. Widoczni m.in. premier Walery Sławek, minister spraw wewnętrznych Marian Zyndram Kościałkowski, szef Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP pułkownik Jan Głogowski, szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Stanisław Świeżawski, wicemarszałek sejmu Stanisław Car, marszałek sejmu Kazimierz Świtalski, marszałek senatu Władysław Raczkiewicz, szef Protokołu Dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Karol Romer (na prawo za W. Raczkiewiczem), minister komunikacji Michał Butkiewicz, minister poczt i telegrafów Emil Kaliński, minister przemysłu i handlu Henryk Floyar-Rajchman (2. z lewej), minister opieki społecznej i ochrony pracy Jerzy Paciorkowski, minister rolnictwa i reform rolnych Juliusz Poniatowski,, kapelan prezydenta RP ks. prałat Jan Humpola (stoi w głębi za prezydentem), adiutant prezydenta RP kpt. Józef Hartman (w głębi, na prawo za K. Romerem), fot. wikimedia commons

Po około dwóch miesiącach znaleźliśmy się w Radomiu, gdzie moja mama znów mogła prowadzić praktykę dentystyczną. Mieszkaliśmy tam do końca wojny. Mama ponownie nawiązała korespondencję z ojcem. Nie znam szczegółów na temat tego, jak moi rodzice się odnaleźli, poza tym, że szukali się przez znajomych.

Dowiedzieliśmy się, że mój ojciec opuścił Anglię w 1941 roku i

przyjechał do Nowego Jorku. Pracował na fermie kurczaków, a następnie w fabryce amunicji na Manhattanie. Zaraz po przyjeździe podjął współpracę z „Nowym Światem” (nowojorską gazetą codzienną), a później pisał do kilku innych polskich dzienników i tygodników. Udało mu się nawiązać kontakt z przyjaciółmi ze służby w Polsce przed II wojną światową, którzy również wyemigrowali do USA. Aktywnie działał w Komitecie Narodowym Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP), który powstał w 1942 roku.

Na drugim zjeździe KNAPP, z inicjatywy mojego ojca, zdecydowano o utworzeniu Instytutu Piłsudskiego w Ameryce w celu studiowania najnowszej historii Polski. Mój ojciec został jego pierwszym dyrektorem.

W międzyczasie ojciec pracował nad zorganizowaniem przyjazdu mojej matki, siostry i mnie do Stanów Zjednoczonych w charakterze przesiedleńców (DP). Moja mama musiała nas wydostać z Polski będaceja pod kontrolą komunistów. Prawnie nie było to dla nas możliwe. Mama wynajęła przewodnika, który przeprowadził nas przez granicę do Czechosłowacji. Stamtąd planowaliśmy udać się do Wiednia, który był częścią wolnego świata. Niestety płatny przewodnik wydał nas na granicy. Byliśmy uwięzieni przez dwa tygodnie, a potem musieliśmy wrócić do Radomia.

Moja mama wpadła wtedy na pomysł, żebyśmy pojechali pociągiem do Niemiec, udając Niemców – repatriantów, odesłanych przez polski rząd. Ten plan, choć nie był pozbawiony ryzyka, ostatecznie zakończył się sukcesem. Mieszkaliśmy w północno-zachodniej części Niemiec, we wspólnocie polskich przesiedleńców, a w tym czasie trwały przygotowania do naszego wyjazdu do Ameryki.

Płynęliśmy statkiem SS Marine Perch, który dotarł do Nowego Jorku 22 kwietnia 1947 roku. Na molo czekał na nas człowiek, którego wydawało mi się, że mogę rozpoznać. Kiedy ostatni raz go widziałam, miałam zaledwie 5 lat, więc czekałam, aż moja siostra Ewa zacznie do niego biec, wtedy się upewnię, że ten człowiek jest moim ojcem.

Mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Ja i Ewa poszliśmy do szkoły i niewiele mieliśmy okazji, żeby mówić po polsku. Ojciec zajęty był pracą w Instytucie Piłsudskiego, pisał wiele artykułów i książek historycznych. W 1948 r. *Wellesley College* zaproponowało mu pozycję profesora języka i literatury rosyjskiej. Przeprowadziliśmy się wtedy do Wellesley. Skończyłem tam gimnazjum, a potem poszedłem na *Northeastern University,* który skończyłem w 1958 r.

Przez 10 lat w Wellesley nareszcie mogłem poznać mojego ojca. Interesował się moją nauką i pracą, a ja zacząłem się

interesować historią Polski oraz poznawać jego rolę w budowaniu niepodległego kraju. Przekonałem się też, że to co moja mama opowiadała o moim ojcu było prawdą. Ale najważniejsze dla mnie było poznać jego charakter. To był człowiek który rozumiał, że prawda i precyzja w pracy są najważniejszymi rzeczami w życiu.



Rodzina Jędrzejewiczów, 100-lecie urodzin Wacława Jędrzejewicza (pierwszy z prawej). Od lewej: Tomasz Jędrzejewicz i synowie – Marek, Tomek, Stefan, fot. arch. Tomasza Jędrzejewicza

Co było dalej? Ukończyłem Northeastern University, Boston, MS z tytułem licencjata w dziedzinie elektrotechniki w 1958 r. Przez kilka lat pracowałem jako inżynier, aż w końcu otrzymałem stanowisko Dyrektora Programów Technicznych w firmie *Acuson* w Mountain View w Kalifornii, gdzie pracowałem przez 18 lat. W

2002 roku moja żona Kathy i ja zdecydowaliśmy się przejść na emeryturę, przenieśliśmy się wtedy do Austin w Teksasie. Jeszcze przez jakis czas obydwoje pracowaliśmy jako konsultanci dla kilku firm zajmujących się obrazowaniem medycznym. Obecnie już nie pracujemy.

Moja siostra Ewa i jej mąż Andrzej Beck mieszkali w Connecticut, podczas gdy ja i Kathy mieszkaliśmy w Kalifornii. Kathy jest Amerykanką, więc nasze dzieci nie miały okazji rozmawiać po polsku. Ewa i Andrzej zdecydowali się nie uczyć swoich córek angielskiego, ponieważ uważali, że po rozpoczęciu edukacji szkolnej bardzo szybko same nauczą się tego języka. Dzięki temu ich córki są dwujęzyczne, podczas gdy język polski moich synów ograniczał się do bardzo niewielu słów lub wyrażeń. Mieszkając daleko od siebie, nie mieliśmy zbyt wielu okazji do interakcji, ale podczas wszystkich naszych wizyt dużo rozmawialiśmy na temat polskiej historii i wspominaliśmy nasze życie w czasie II wojny światowej.

Teraz, po latach, postanowiłem spisać swoje wspomnienia przede wszystkim dla moich dzieci, aby mogły zapoznać się z latami okupacji niemieckiej i rosyjskiej, a z naszymi próbami ucieczki z komunistycznej Polski i połączenia się z ojcem. Chciałbym im przekazać to co ważne, szacunek do przeszłości i polskiej tradycji.

Na zakończenie dzielę się fragmentem listu, który mój ojciec napisał do mojej matki 6 marca 1941 roku, zanim opuścił Anglię. Rodzice nie mieli wtedy ze sobą komunikacji, więc nie wiem, czy moja mama kiedykolwiek otrzymała ten list. Znalazłem go w korespondencji mojego ojca po jego śmierci. Myślę, że musiał chcieć jej powiedzieć te ważne rzeczy, ponieważ podróż, którą miał odbyć, czyli przekroczanie Atlantyku, była bardzo ryzykowna, gdyż Niemcy torpedowali płynące do Ameryki statki. Ten fragment ilustruje osobowość mojego ojca lepiej niż jakiekolwiek słowa, które mógłbym o nim powiedzieć:

> Trudno mi opisać jak bardzo tęsknie do ciebie, do Ewy i Tomka. Przecież wy, po Polsce, jesteście mi wszystkim na świecie.
>
> Wychowaj dobrze dzieci, bardzo współcześnie, a z szacunkiem dla przeszłości i tradycji. Niech rozumieją i umieją odczuć nasze piękne życie dla Polski, Twoje i moje. Niech to będzie dla nich istotną wartością dla wydobycia z nich siły charakteru, wiary, odwagi, oddania sprawie.
>
> Niech umieją obronić nazwisko przed wszelkiemi na nie atakami.

Zobacz też:

> Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Piękno i elegancja – papierowe arcydzieła Ani Gilmore z Bostonu



Ania Gilmore, fot. Jerry Gilmore

Ania Gilmore *(Boston)*

Uwielbiam papier! Sekret produkcji papieru przeniósł się w III wieku z Chin do Wietnamu, Tybetu, a w IV wieku do Korei i Japonii. Joomchi to tradycyjna koreańska technika wytwarzania papieru, która polega na tworzeniu jego tekstury poprzez nakładanie warstw i mieszanie z wodą włókien morwy (Hanji). Cały proces wymaga skupienia oraz energii i siły, ale też daje dużo radości i jest swoistą medytacją. Joomchi umożliwia mi

bawić się strukturą materiału, zmieniać właściwości włókien, przechodzić przez różne etapy w porcesie towrzenia materiału – od papieru gładkiego, przez skóropodobny, do takiego o wyrazistej teksturze. Interesuje mnie tworzenie elementów, które można zmieniać lub dostosowywać w trakcie pracy, podczas gdy podstawowa zawartość błonnika w materiale pozostaje niezmienna. Ponieważ nic w życiu nie jest trwałe, idea pracy z nietrwałym materiałem wydaje mi się być jak najbardziej naturalna. Każdy egzemplarz jest unikalny, czasami powstają małe, limitowane serie.

Ania Gilmore urodziła się w Warszawie. Uzyskała dyplom *Bachelors in Fine Arts* z wyróżnieniem w dziedzinie projektowania graficznego w *Massachusetts College of Art and Design*/ Studiowała też na *Rhode Island School of Design*, w *School of the Museum of Fine Arts* w Bostonie oraz na *Haystack Mountain School of Crafts* w Maine. W swoim portfolio ma zarówno prace graficzne na papierze, książki artystyczne, sztukę włókienniczą, jak i media mieszane.

Ania pracowała jako niezależna kuratorka zarówno w USA, jak i poza Stanami. Była kuratorką takich wystaw jak *Book Art the world of limitless*; *Nothing twice (Nic dwa razy)* w *ArtSpace Gallery* w Maynard MA; *Resonance: books in time* w *Rochester Public Library*, Rochester NY; *Resonance: books in time II* in *Brickbottom Gallery*, Somerville MA; *Correspondence 9th*

International Book Art Festival w Polsce; *Joy of Freedom* w *Polish Institute of Arts and Sciences of America* w Nowym Jorku.

W 2014 roku Ania została zaproszona do *Gallery Nori* na wyspie Jeju w Korei; w 2017 miała wystawę indywidualną w *Hangaram Art Museum* w Seulu, w Korei, a w 2018 jej prace były pokazywane w *Bojagi Forum* oraz *Chojun Textile & Quilt Art Museum* w Seulu oraz na Międzynarodowym Biennale Sztuki Włókien *From Lausanne to Beijing International Fiber Art* w Muzeum Sztuki Uniwersytetu Tsinghua w Pekinie, Chiny.

W 2016 r. została nagrodzona nagrodą *Excellence in Fibers* przez magazyn *Fiber Art Now*, a jej prace były pokazywane w *New Bedford Art Museum*. Prace Ani znalazły się też w magazynach *Art New England, Woodstock, Fiber Art Now,* zostały opublikowane w książce *Artistry in Fiber: Wearable Art.* autorstwa Anne Lee i E. Ashley Rooney, a także w *The Collection of Polish Book Art from the 20th to the 21st Century* w *Musashino Art University Museum* w Tokio. Nagrodzone przez *Artscope Magazine Centerfold* prace Ani w maju/czerwcu 2015 r., zostały włączone do książki Petera i Donny Thomas *1,000 Artists' Books: Exploring the Book as Art.,* znalazły się także w albumie *Twórcy wizerunku Polonii,* wydanym przez wydawnictwo Sedeka w Warszawie.

Prace Ani znajdują się w galeriach i zbiorach prywatnych w Australii, na Węgrzech, w Iraku, Japonii, Korei, Polsce, Rumunii, Wielkiej Brytanii i USA.

*



Ania Gilmore podczas Rezydencji Artystycznej w Warszawie, 2019 r.



Ania Gilmore podczas Rezydencji Artystycznej w Warszawie, 2019 r.

*

TEMPO RUBATO

Kolekcja Tempo Rubato [www.temporubato.us] podejmuje temat związków emocjonalnych życia w dwóch krajach, a także analizuje koncept narodowości i dualizmu związanego z

imigracją. Przybywając z innego kraju, każdy musi nauczyć sie funkcjonować w nowej kulturze. Po przybyciu z Polski i mieszkając wiele lat w USA, doświadczyłam głęboko własnego poczucia przynależności i związku z moimi korzeniami.

Papier to medium, z którym zdecydowałam się pracować w tym projekcie. Jest on stale obecny w naszym życiu w takiej czy innej formie. Zwykle niedoceniany jako trwały materiał, jest jednak zadziwiająco trwały, zwłaszcza papier z włókien z kory morwy ze wzgledu na ich długość i zdolności wiązania. Długa obecność papieru w wielu kulturach, jego wszechstronność oraz mozliwość adaptacji, była dla mnie inspiracją.

Tłem mojego projektu jast muzyka Fryderyka Chopina ze wzgledu na jej bogaty ekspresyjny i zróżnicowany styl, zmiany tempa i nastrojów w poszczególnych częściach, połączenia mroku i światła w bogactwie rytmów w celu uzyskania równowagi twórczej. Muzyka tego wielkiego polskiego kompozytora ukazujaca nowe możliwości techniczne i dźwiękowe fortepianu jest ponadczasowa, nie ma granic, a poprzez swoją głębię uczuć łączy ludzi bez względu na miejsce i czas gdzie się znajdują.

Fryderyk Chopin żył w młodości w Polsce, a następnie tworzył na wygnaniu we Francji. Jego wędrówka zatoczyła pełne koło, aby ostatecznie zgodnie z jego życzeniem, jego serce wróciło do

Polski, by spocząć w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie, gdzie czytamy: „Gdzie skarb twój tam serce twoje”.

Tempo Rubato [tɛmpo ruba:to] (wolność w prezentacji, po włosku: skradziony czas) to termin muzyczny odnoszący się do wolności ekspresyjnej i rytmicznej poprzez lekkie przyśpieszenie, a następnie spowolnienie tempa utworu według uznania solisty lub dyrygenta.

Ania Gilmore

G A L E R I A



Ania Gilmore, **Joomchi Neck Pieces**



Fantasy-Impromptu in C-sharp minor, Op. 66



Ania Gilmore w swoim Studio, fot. Asia Kępka



Joomchi, Released to Joy



Joomchi, High on Life



Nocturne in B flat minor, Op. 9, No.1



Prelude in D flat major, Op. 28, No.15, Raindrop-Prelude



Waltz in D, flat major, Op. 64, No.1, Minute Waltz



Mazurka in F minor, Op. 68, No. 4



Revolutionary Etude, Op.10, No.12 in C minor



Joomchi, Wanderer 79



Mazurka in F minor, Op. 68, No. 4, Joomchi Broach, 3×3



Joomchi, Earrings



Joomchi, Earrings



Joomchi, Earrings



Joomchi, Earrings



Joomchi, Earrings



Joomchi, Earrings



Joomchi, Wanderer 11



Joomchi, Wanderer 14



Joomchi, Wanderer 23





Penland School of Craft, Ania Gilmore i Jiyoung Chung



Ania Gilmore i *Polonez As dur op.53* podczas wystawy indywidualnej w *Hangaram Art Museum*, Seoul, Korea



2016 Excellence in Fibers – wernisaż wystawy w *New Bedford Art Museum*. Od lewej: Noelle Foye (Dyrektor wykonawczy *New Bedford Art Museum),* Marcia Young (Redaktor naczelna *Fiber Art Now* magazine), Chunghie Lee (założycielka i Dyrektor *Korean Bojagi Forum),* Ania Gilmore (autorka wystawionych prac)

*

Publikacje


Fiber Art now
FIBER ART & TEXTILES INSPIRATION FOR YOU!
35+
FIBER & MIXED MEDIA ARTISTS


WATER, PAPER & HANDS
THE RESURGENCE OF JOOMCHI
BY NOELLE FOYE




ARTISTRY IN FIBER
VOL 3
Wearable Art





Fantasy-Impromptu in C-sharp minor, Op. 66

Medium: Necklace. Korean Mulberry Paper, Thai Kozo, mixed media.
Dimensions: 1.5 W x 130 L in.

*

Released to Joy
Medium: Joomchi necklace. Korean Mulberry paper, thread
Dimensions: 18 in. (extendable)

*

High on Life
Medium: Joomchi necklace. Korean Mulberry paper
Dimensions: Free size, adjustable.

*

Nokturn b-moll op. 9 nr 1

Medium: Necklace. Korean Mulberry Paper, cotton thread, steel cable.
Dimensions: 2.5 W x 4 H x 22 L in.

*

Preludium Deszczowe Des-dur op. 28 nr 15
[Prelude in D flat major, Op. 28, No. 15, Raindrop Prelude]
Medium: Necklace. Korean Mulberry Paper, nylon thread, steel cable.
Dimensions: 2.5 W x 7 H x 22 L in.

*

Minute Waltz in D flat major, Op. 64 No. 1

Medium: Necklace. Thai Kozo, mixed media, steel cable.
Dimensions: 1 W x 18 L in.

*

Mazurek f-moll op. 68 nr 4

Medium: Joomchi broaches. Mulberry paper, hand stitched, thread, metal clasp.

Dimensions: 39 pieces 3 x 3 in. each. (Overall Composition: 16 x 27 in.)

*

Etiuda Rewolucyjna c-moll op. 10 nr 12
[Revolutionary Étude Op. 10, No. 12 in C minor]
Medium: Necklace. Korean Mulberry Paper, cotton thread, steel cable.
Dimensions: 2.5 W x 4 H x 22 L in.

*

Wanderer 79
Medium: Joomchi Broach. Korean Mulberry paper
Dimensions: 3 x 4 in.

*

Wanderer 11
Medium: Joomchi Broach. Korean Mulberry paper
Dimensions: 5 x 0.8 in.

*

Wanderer 14
Medium: Joomchi Broach. Korean Mulberry paper
Dimensions: 5.5 x 1 in.

*

Wanderer 23
Medium: Joomchi Broach. Korean Mulberry paper
Dimensions: 7 x 1.5 in.

LINKI:

www.aniaart.com
www.temporubato.us
http://bostonvoyager.com/interview/meet-ania-gilmore
https://www.schifferbooks.com/artistry-in-fiber-vol-3-wearable-ar

t-6302
https://www.amazon.com/TWORCY-WIZERUNKU-POLONII/dp/8394867510
https://fiberartnow.net/portfolio/excellence-in-fibers-2016/

*

Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 2.

Dwustulecie urodzin poety

Kazimierz Braun (Buffalo, NY)



Józef Łoskoszyński, „Cyprian Kamil Norwid”, rysunek, fot. wikimedia commons

W roku 2021 upływa 200 lat od urodzenia Cypriana Norwida. Jubileusz 200-lecia urodzin tego wielkiego twórcy to ważna sprawa narodowa – sprawa literatury polskiej i polskiego teatru, a ogólnie sprawa narodowej kultury i narodowej świadomości. „Syn – minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku” – napisał Norwid.[1] Wczoraj pomijany – dzisiaj wraca.

Norwid zwraca się do artystów

Często posługiwał się Norwid terminem „narodowy artysta”. Co mówi dziś artystom, twórcom różnych dziedzin sztuki w dobie dekonstrukcji, postmodernizmu, postkolonializmu? Gdy w galeriach sztuki odbywają się urągające wszelkiej zdrowej estetyce „performansy”? Gdy na scenach głośno rozbrzmiewa brukowy język? Gdy w wielu powieściach zatarte są uznawane dotąd granice pomiędzy literaturą a pornografią? To tylko niektóre zjawiska, które włączają sygnały alarmowe, gdy rozejrzeć się po współczesnej sztuce.

Norwid wielokrotnie, rozważał zagadnienia sztuki. W *Promethidionie*,poetyckim traktacie, napisał:

> I ja tak widzę przyszłą w Polsce sztukę,
>
> Jako *chorągiew na prac ludzkich wieży*
>
> Nie jak zabawkę ani jak naukę,
>
> Lecz *jak najwyższe z rzemiosł apostoła*

> *I jak najniższą modlitwę*
> *anioła.*[1]

Porywająca wizja: wstępowania sztuki do nieba, wstępowania sztuką do nieba. I wizja uprawiania takiej sztuki, którą za swoją przyjmują aniołowie. Tu trzeba wskazać, że w sposób wyróżniający go na tle całej polskiej literatury XIX w., a także polskiego środowiska emigracyjnego, był Norwid człowiekiem głęboko wierzącym, co manifestował m.in. w religijnych wierszach oraz w refleksjach religijnych rozsianych w poezji, w dramatach, utworach prozą i listach. Zacytowanego przed chwilą *Promethidiona* zakończył wezwaniem do czytelnika:

> Nie z krzyżem Zbawiciela za sobą, ale z krzyżem *swoim* za Zbawicielem idąc – uważałem za powinność dać głos myślom w tym piśmie objętym.[2]

Wiara nierozdzielnie łączyła się dla Norwida ze sztuką. Sztuka zaś nie mogła, w jego przekonaniu, istnieć bez wiary. Fundamentem całej jego twórczości była postawa katolika i wiernego syna Kościoła oraz dogłębna znajomość Pisma Świętego, przy czym był to katolicyzm głęboki, refleksyjny, intelektualny. Norwid obserwował świat z perspektywy

człowieka wierzącego, a w jego wizji ludzkiego życia i ziemskiej rzeczywistości wyraźnie obecny był Bóg w Trójcy jedyny.

Norwid wielokrotnie rozważał zagadnienia sztuki zarówno w dziełach literackich, jak i teoretycznych.[3] Zwracał się bezpośrednio do twórców sztuki – jakże przydałaby się jego przestroga dzisiaj: „ Artysta bez tradycji *własnej ojczystej* i bez muzeów, to jest *tradycji ogólnej,* rzucony jest losem gdzieniebądź.”[4]

Norwid uprawiał różne gatunki literackie. Dwoma głównymi nurtami jego twórczości były poezja i dramat.

W poezji cechowała go zwięzłość i celność języka i konstruowanych metafor.[5] Norwid odrzucał poezję zastaną. Pisał: „Są, którzy uczą, iż dla poezji trzeba przedmiotów, które nie byłyby suche i niewdzięczne” – i dalej – „Poezja ta, co, ażeby była poezją, potrzebuje przedmiotów niesuchych (…) i czeka na wdzięczne, nie należy do mojej kompetencji”[6] Szydził ze starej poezji, która była, wedle jego słownictwa, „wdzięczna”, „niesucha”, koniecznie rymowana i generująca wzruszenia, a nie myśli. Domagał się, aby poezja angażowała się bezpośrednio w życie ludzi:

> Poezja, która zapomina o tym, że „*ona coś robić powinna*”

> – zapomina przez to samo o zdrowej estetyce (…) Nausica, córka królewska u Homera, *„dla tego jest taka piękna, iż do rzeki chodzi prać bieliznę* (…) *Jest pewna proporcja utylitarności, która jest warunkiem piękna„*.[7]

Używał dosadnego, współczesnego słownictwa, sądząc, że właśnie przedmioty, zachowania, zdarzenia realne, konkretne i prozaiczne najdoskonalej przenoszą myśl twórczą z brzegu codziennego życia na brzeg poezji. Pisał:

> W tej powszedniości, o! jakże tu wiele
>
> Mistycznych rzeczy i nieodgadnionych.[8]

Wprowadzając do swej poezji przedmioty zwyczajne, „suche”, rozumiał

> ten fenomen, że poeci postępu nieco przynoszący zarówno w rozbracie ze społeczeństwem swym bywali, jakże albowiem, posuwając społeczeństwo w przyszłość i język uczuć przyszłych mu przynosząc, porozumiewać się jasno z obecnością – jakże można swobodnie rozmawiać z ludźmi, których język się tworzy? [9]

Był więc świadomym nowatorem.

Najwybitniejsi polscy poeci XX wieku podążali szlakiem Norwida, a wśród nich Krzysztof Kamil Baczyński, Zbigniew Herbert, Tymoteusz Karpowicz i Tadeusz Różewicz. Wczytywał się w niego młody Karol Wojtyła, który potem, jako Papież Jan Paweł II, wielokrotnie powoływał się na Norwida w swych wystąpieniach. Oni, i wielu innych, przeprowadzali go w „dziś".

Dramaty Norwid zawsze ukierunkowywał na realizację teatralną. Chciał, aby jego sztuki były grane – czego nigdy, za życia, nie doczekał.

W sztuce zatytułowanej *Aktor* dał fundamentalną definicję teatru:

> Teatr ile wiemy – jest atrium spraw niebieskich – i stąd go tak zwiemy.

Atrium było centrum, sercem domu w starożytnym Rzymie, a zarazem z niego można było przejść do innych części domu. Według Norwida zatem „sprawy niebieskie", sprawy Boże, są, winny być, sercem teatru; mogą być, i powinny być, centrumu teatalnej twórczości. Co więcej, te właśnie „sprawy niebieskie", wyższe, duchowe, winny być drogą i sposobem przedstawiania

w teatrze spraw ziemskich; niebo winno oświetlać ziemię. A więc teatr, sztuka doraźna i materialna, to jest, to powinien być, przedsionek tego, co duchowe, wieczne, uniwersalne, niematerialne.



Cyprian Kamil Norwid, „Port na rzece”, olej na płótnie, (14, 7×31 cm), Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. wikimedia commons

Norwid zwraca się do nas wszystkich

Norwid sądził, że prawda – jej rozumienie i praktykowanie – jest fundamentem godnego życia człowieka, podstawą właściwego kształtowania stosunków społecznych.[10]

W świecie współczesnym, w przestrzeni publicznej, w środkach masowego przekazu, w zarządzeniach władz natrafiamy dziś co krok na zaprzeczenie prawdy, na kłamstwo, hipokryzję,

manipulację, relatywizm, a także – co równa się kłamstwu – ukrywanie prawdy, uniemożliwianie wypowiedzi, cenzurę, zamykanie kont internetowych, i tak dalej, i tak dalej. W tym kontekście warto się wsłuchać w to, co mówił o prawdzie Norwid. Uważał on prawdę za wartość samą w sobie, ale zarazem podkreślał, że prawda, prawdomówność, jest warunkiem właściwych, uczciwych relacji między ludźmi; uznawał prawdę za spoiwo życia społecznego; nade wszystko wierzył, że prawda jest warunkiem wolności. Zdawał sobie przy tym sprawę, że „kto prawdę mówi, ten niepokój wszczyna”[11] – a więc widział jasno że w każdym wieku i każdym miejscu prawda ma przeciwników.

Zagadnieniu prawdy Norwid poświęcił cały dramat *Za kulisami* – misternie złożony z części (dla autora) współczesnej, a jest to opowieść o balu wydanym w Warszawie w Teatrze Wielkim na rozkaz władz rosyjskich, zapewne w 1864 r., gdy wciąż tliło się jeszcze w kraju Powstanie Styczniowe oraz z części starożytnej, która rozgrywa się w Atenach i Sparcie. Części te połączone są konstrukcją „teatru w teatrze”. Bohater części współczesnej Omegitt napisał sztukę o starogreckim poecie Tyrteuszu, który jest głosicielem prawdy. Omegitt wystawił tę sztukę, aby zagrana została w czasie balu, po to, by zedrzeć maski fałszu z twarzy widzów – swoich współczesnych. Aby zmusić ich do zobaczenia siebie samych w prawdzie. Prawda jest w ogóle centralnym zagadnieniem całego dramatu. Jest przeciwstawiona fałszowi,

zakłamaniu, udawaniu, hipokryzji. Goście balowi – personifikujący dla Norwida, europejską społeczność XIX wieku – odrzucili sztukę Omegitta. Skończyła się ona gwizdami, klapą. W jednej ze scen *Za kulisami* Omegitt toczy dialog o prawdzie z gośćmi balowymi, których twarze zakryte są maskami. Tak mówi do maski zwanej „FELIETON”:

> Patrząc na przedmiot, nie widzimy bynajmniej powierzchni jednej, ale przez tajemnicze a mistrzowskie poczucie-ogółu widzimy prawie że współcześnie wszystkie inne przedmiotu bryłowatości i przecięcia. Im zaś przedmiot widzenia zupełniej jest rozumny w swej całości, tym zupełniej obejmujemy go jednym oka rzutem ze wszech miar. Podobnie jest, i zwłaszcza, z Prawdą! Ona, przede wszystkim będąc całą, od najpierwszej chwili, w której dała się postrzec – udzieliła się ludziom niejako w zupełności.[12]

Maska: „DIOGENES” zapytuje szyderczo Omegitta:

> A wyświstany „*Tyrtej*” gdyby po tysiącach lat znalazł się tu, cóż oglądałby i zagaił na maskaradzie żywota?

OMEGITT odpowiada:

> Mówiłby zapewne prawdę, wierząc w moc jej: czego zaiste że nie postrzegam, aby ktokolwiek czynił.

Do dialogu wtrąca się inna maska, zwana „DOMINO-SZPIEG” i pyta:

> Zaś moc prawdy skąd idzie?” OMEGITT: Pochodzi z jej Całości… a przeto stąd, że prawda jest Ideą powodującą nieustannie równe sobie świadectwo…[13]

Ogólnie *Za kulisami* jest opowieścią o dramatycznym zderzeniu prawdy z fałszem. Stawia druzgoczącą diagnozę choroby europejskiej kultury XIX wieku: oderwała się ona od swych duchowych, chrześcijańskich fundamentów, wyrzekła się chrześcijańskiej wiary i chrześcijańskich ideałów, a w konsekwencji już nie jest chrześcijańska.[14] Kategorycznie stwierdza to Omegitt:

> Cywilizacja europejska jest bękarcia!

Grupa gości balowych w maskach „FIOŁKÓW” oburza się na niego:

> Ach!! – – Grubianinie szkaradny… i dlaczego?

Odpowiada Omegitt:

> Dlatego, że wszystkie *inteligencje* praktyczne są niechrześcijańskie – a wszystkie *chrześcijańskie* są niepraktyczne!…[15]

Diagnoza ta wynika ze zbudowanego przez Norwida – dzięki posłużeniu się strukturą „teatru w teatrze” – zestawienia kultury Sparty, która stała się martwa, zmaterializowana, nie twórcza, pusta i bezpłodna, z jednej strony, a z drugiej kultury Europy XIX wieku, którą widział tak samo. O Sparcie tamtego czasu wyrokuje Tyrteusz:

> Lud ten cały z-żeleźniał […] i bóg tam nic nie tworzy więcej…[16]

– a słowa te odnosi Norwid do Europy swego czasu, którą określał nawet jeszcze dosadniej:

> Europa jest to stara wariatka i pijaczka, która co kilka lat robi rzezie i mordy bez żadnego rezultatu ni cywilizacyjnego, ni moralnego. Nic postawić nie umie – głupia jak but, zarozumiała, pyszna i lekkomyślna.[17]

Skupiłem uwagę na trzech zagadnieniach rozważanych przez Norwida, które wydają się brzmieć dzisiaj szczególnie mocno. Są szczególnie aktualne. Warto słuchać Norwida dyskutując sprawy narodu, sztuki, prawdy.

Sprawy narodu – w sytuacji zagrożenia samego istnienia narodów jako bytów odrębnych, posiadających swą oryginalną tożsamość. Spraw sztuki – gdy obserwuje się degenerację współczesnej sztuki i utratę przez nią energii transcendencji. Spraw prawdy – w czasie gdy kwestionowane jest samo pojęcie prawdy – w sposób najbardziej agresywny zwłaszcza w życiu publicznym, w mediach.

Warto wracać do Norwida, po – jakże aktualnie brzmiące – jego uwagi, analizy, postulaty. Po piękno jego poezji. Po mądrość jego myśli. Natrafiamy na nie co krok, czytając jego dzieła.

Warto do nich wracać. To nasz „wielki, zbiorowy obowiązek". Obowiązek „późnych wnuków."[18] Twórczy wkład Cypriana Norwida w polską kulturę jest bowiem ogromny, a na wielu

polach decydujący. Dwustulecie jego urodzin stwarza okazję przypomnienia tego wielkiego twórcy, ponownego odwołania się do niego, korzystania z jego dzieła.



Grób C. K. Norwida na cmentarzu Les Champeaux w Montmorency, Francja, fot. wikimedia commons

*

Część 1:

Referat wygłoszony przez prof. Kazimierza Brauna 27

lutego 2021 r., npodczas spotkania Oskar Halecki Institute in Canada w Ottawie.

*

Zobacz też:

> Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 1.

> „Za kulisami” Norwida w inscenizacji Kazimierza Brauna

> „Powrót Norwida” z okazji Jubileuszu Kazimierza Brauna.

Przypisy:

---

[1] *Pisma Wszystkie,* t. 3, s. 446

[2] J.W. s. 471.

[3] Por. m.in. *O sztuce dla Polaków, O sztuce u starożytnych, Sztuka w obliczu dziejów, Sztuka jako żywy organ społeczny*, w: *Pisma Wszystkie,* t. 6 i 7. Tamże dokładne adresy bibliograficzne.

[4] *W kwestii losów artystów polskich, Pisma wszystkie*, t. 6, s. 562.

[5] Na temat poezji Norwida: por. np. Grażyna Halkiewicz-Sojak *Nawiązane ogniwo. Studia o poezji Cypriana Norwida i jej kontekstach,* Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2010, 65-79. Krzysztof Trybuś, *stary poeta. Studia o Norwidzie,* Wydawnictwo Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, Poznań 2010.

[6] Nota przed *Rzeczą o wolności słowa*, *Pisma Wszystkie*, t. 3, s. 557.

[7] List do Bronisława Zaleskiego datowany 14.V.1869, *Pisma Wszystkie,*. 9, s. 403.

[8] *W tej powszedniości… Pisma Wszystkie*, t. 1, s. 255.

[9] *O Juliuszu Słowackim*, Lekcja 6. *Pisma Wszystkie,* t. 6, s. 458.

[10] Por. Włodzimierz Toruń, *Norwida uwagi o prawdzie.* „Roczniki Humanistyczne” 2009, t. 57, z. 1, s. 9-19.

[11] Tak w *Rozmowie umarłych. Pisma Wszystkie,* t. 1, s. 280.

[12] *Pisma Wszystkie*, t. 4, s. 530. Konrad, w *Wyzwoleniu*, mówi do Maski 17: „Artyzm […] jest całą prawdą, jeśli jest”[12] Uderzające jest to rozumienie prawdy jako pewnej „całości” zarówno przez Norwida, jak przez Wyspiańskiego. Stanisław Wyspiański, *Wyzwolenie* , Akt II. Konrad i Maska 17.

[13] J.w., s. 532.

[14] Ta diagnoza została postawiona przez Norwida w latach 1860. – zdaje się brzmieć współcześnie.

[15] *Pisma Wszystkie*, t.4, s. 528.

[16] *Pisma Wszystkie*, t 4, s. 497.

[17] List do Konstancji Górskiej z 1881 r., *Pisma Wszystkie*, t. 10, s. 155.

[18] Z wiersza *Klaskaniem mając obrzękłe prawice* już cytowanego – por. przypis 1. Termin „późny wnuk” funkcjonuje powszechnie w Norwidologii.

Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 1.

Dwustulecie urodzin poety

Kazimierz Braun (Buffalo, NY)



Cyprian Kamil Norwid, fot. Michał Szweycer, 4 stycznia 1871 r., wikimedia commons

W roku 2021 upływa 200 lat od urodzenia Cypriana Norwida. Jubileusz 200-lecia urodzin tego wielkiego twórcy to ważna sprawa narodowa – sprawa literatury polskiej i polskiego teatru, a ogólnie sprawa narodowej kultury i narodowej świadomości. „Syn – minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku” – napisał Norwid.[1] Wczoraj pomijany – dzisiaj wraca.

Wprowadzenie

Cyprian Norwid przyszedł na świat 24 września 1821 r. na Mazowszu, w Laskowie-Głuchach koło Radzymina w rodzinie ziemiańskiej. Był poetą, dramatopisarzem, prozaikiem i myślicielem, a także artystą sztuk pięknych.

Przeżył swą młodość w kraju. Wyjechał z Polski w 1842 r. i nigdy już do kraju nie wrócił. Dojrzałe lata spędził na emigracji – w Europie Zachodniej, w Ameryce i ponownie w Europie, osiedliwszy się we Francji. W 1855 r. został uznany przez zaborcze władze rosyjskie za politycznego „wygnańca" i do Polski już nie mógł powrócić – chyba, że wprost na Sybir. Zmarł w Paryżu w biedzie i opuszczeniu w 1883 r.

Do Norwida prowadziła mnie tradycja rodzinna. Mianowicie ojciec mojej babki, Henryki, doktor Konstanty Miller, był w Paryżu przyjacielem Norwida, który umieścił go w swym *Promethidionie*. Z tego powodu już w bardzo młodym wieku uczyłem się wierszy Norwida na pamięć. Drogę do Norwida wskazywali mi następnie wielcy uczeni, znawcy jego dzieła. Profesor Zygmunt Szweykowski, u którego napisałem pracę magisterską o teatrze Norwida; później profesor Irena Sławińska; potem profesor Wiesław Rzońca. I wielu innych. Miałem szczęście rozmawiać o Norwidzie z jego znawcą i inscenizatorem, Wilamem Horzycą. Miałem bezcenną możliwość

wielokrotnie konsultować moje pisanie o Norwidzie i moje przedstawienia jego sztuk z największym Norwidologiem, Juliuszem Wiktorem Gomulickim.

Spłacając im wszystkim długi, a przede wszystkim, starając się oddać dobrą przysługę zmarłemu poecie, uważam za swój szczególny obowiązek przypominać go, pisać o nim, mówić o nim właśnie w tym „Roku Norwida".

*

Norwid wczoraj

Cyprian Norwid wcześnie rozpoczął błyskotliwą karierę literacką, by w następnych latach życia stworzyć arcydzieła, takie jak wiersz *Fortepian Chopina*, przez wielu uznawany za najwybitniejszy w ogóle utwór poetycki napisany w języku polskim, czy jak dramat *Za kulisami*, będący kunsztownym połączeniem narracji politycznej, krytyki społecznej i uniwersalnej refleksji filozoficznej. W jego dorobku znalazły się setki wierszy i poematów, kilkanaście dramatów, wiele utworów prozą – tworzył mistrzowskie nowele i miniatury, jak *Białe kwiaty* i *Czarne kwiaty.* Pisał studia historyczne i artykuły publicystyczne. Wypowiadał się publicznie na emigracyjnych zgromadzeniach. Pozostawił po sobie przeszło tysiąc listów. Pozostały po nim również dzieła sztuk pięknych: rysunki, obrazy,

rytownictwo.

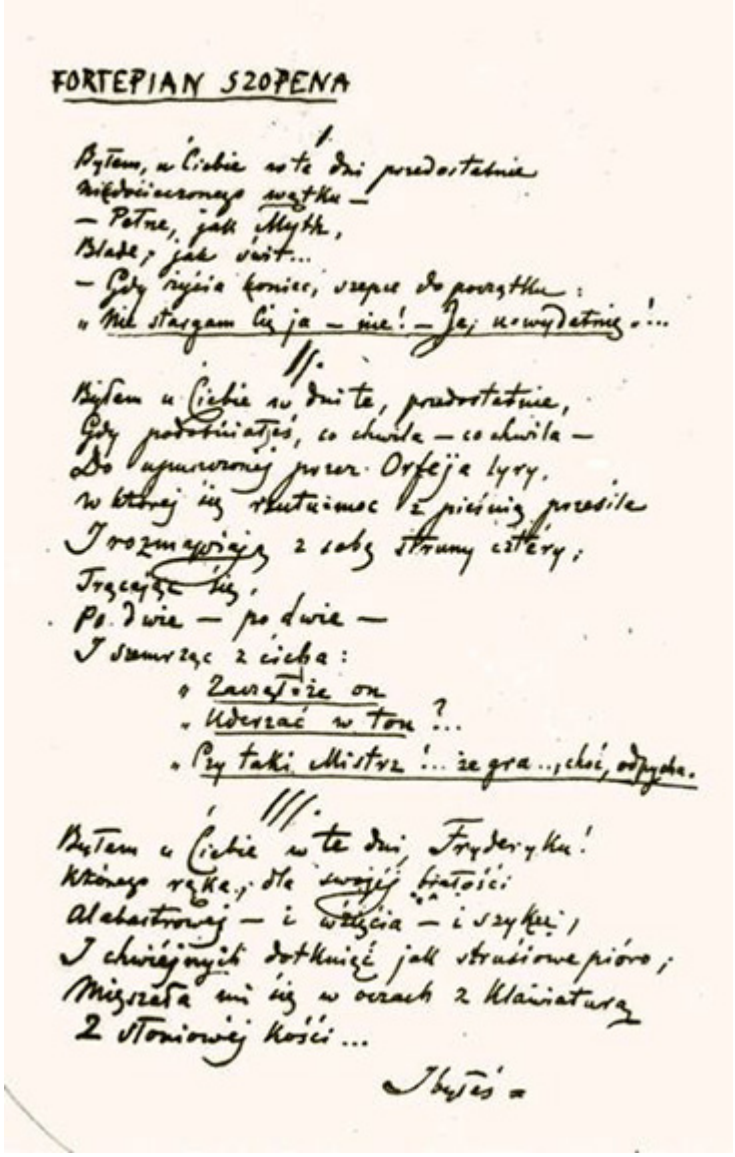
W twórczości swej Norwid odwoływał się do narodowej i ogólno-europejskiej tradycji, a zarazem był odważnym nowatorem. Na zawsze weszły do zbiorowej świadomości Norwidowe frazy, jak ta: „Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek". Największą wartością, promieniującą ze wszystkich jego dzieł jest wolność – wolność jednostki i narodu, wolność w dziedzinie twórczości i wolność polityczna.

Jego nowatorska twórczość oraz bezkompromisowe sądy artystyczne, polityczne i moralne stopniowo odsuwały od niego wielu krytyków, a także i czytelników. Już od 1849 r. datuje się krytyka jego pism, zarzuty „zmanierowania", „niejasności", „ciemności" i „zawiłości"; a nawet „samobójczej genialności". Julian Klaczko, historyk i krytyk sztuki i literatury, „uwierzgnął go" (to wyrażenie samego Norwida[2]) szyderczą etykietą: „*Promethidiony, Zwolony* i inne androny."[3] W poznańskim „Gońcu Polskim", ukazał o nim prześmiewczy felieton.[4] W krakowskim „Czasie" wyczytał miażdżące i złośliwe omówienie *Promethidiona* oraz *Zwolona.*[5] Pogarszało się także jego zdrowie. Narastało w nim poczucie klęski.

W listopadzie 1850 r. pisał o sobie do Augusta Cieszkowskiego:

FAKTA. *„Jako zdrowie i siła”* – głuchota. *„Jako członek Ojczyzny”* – wszystkie odrzucone rękopisma. *„Jako wspomnienia”* – sąd, że nie jestem dość idealnym przyjacielem. (…) *„Jako familia”* – bracia na tułactwie, z których starszy opuszczony przez krewnego i *„zdradzony”* w interesach swoich najhaniebniej. *„Jako małżeństwo”* – to, żem był kochany i *„zaręczony„*, ale – jak Juliusz mówi: „pfu! *Odebrałem list, że za mąż idzie”* – a potem, jak ten jej majątek stracił i opuścił ją – pisze mi bilecik z przypomnieniem miłości swojej. *Jako społeczeństwo* – to, że społeczeństwo polskie jest najlichsze, tak jak naród polski jest najpierwszy, i że tym sposobem sama znakomitość szwankuje, bo jej zawsze do pokrycia lichości używamy i to, co jest wzniosłego, na szlafrok lichego się przerabia – i stąd nie ma nic. *„Jako znajomości i stosunki”* – to, że za niedługi przeciąg czasu *„zrażę je wszystkie, stracę je wszystkie – bo w nagłych”* tylko *i „ostatecznych”* potrzebach zawzywając pomocy ich, nie mogę naturalnie normalnym odbywać to sposobem – krojem konwencjonalnie słusznym. Tak, jak np. człowiek przejechany na ulicy, kiedy go do znajomych progów pobliskich wnoszą, nie może nie być zabłoconym i skrwawionym.[6]


„dajcie mi tęż jaką książkę 2
„brzega, bo idę spać do=
=ogrodu"
№ 115.
1.
Tegoż roku, podróżowa=
=Tedm po Polsce — dwóch
nas było: ojc Władysław Wę=
=żyk i ja — kielichmy
2 wobec kathedrycia[illegible]
tomowo książek historyc
dotyczących [illegible]
kronik i pamiętników.
szlachcic jeden, bardzo
szanowny obywatel i dobry
sąsiad Zobaczywszy podróżnę
bibliotekę naszą ruszył
głową i uwagę[illegible] „To=



FORTEPIAN SZOPENA

I.

Byłem, u Ciebie w te dni przedostatnie
Arcydziecinnego wątku —
— Potrę, jak Mlyth,
Blade, jak świt...
— Gdy zjawia koniec, sięgnie do początku:
„Nie starzam się ja — nie! — Jej wirtuozerię...

II.

Byłem u Ciebie w dni te, przedostatnie,
Gdy przedrzeźniałeś, co chwila — co chwila —
Do ogarniętej przez Orfeja liry,
W której się skrzętniusz z piekieł przesiła
I rozmawiają z sobą struny cztery;
Trzeszczą się,
Po dwie — po dwie —
I szemrzą z cicha:
„Zaraz to ze
„Uderzać w ton?...
„Czy taki mistrz!... że gra... choć odgryzka.

III.

Byłem u Ciebie w te dni Fryderyka!
Którego ręka, dla swojej białości
Alabastrowej — i wdzięcia — i szyku,
I chwiejności dotknięć jak strusiowe pióro,
Mięszała się w ocrach z klawiaturą
Z słoniowej kości...

Byłeś =

Kartka z „Pamiętnika podróżnego” C. K. Norwida, datowana na 16 stycznia 1857 r. oraz rękopis „Fortepianu Chopina”, fot. wikimedia commons.

Szamotał się, ostatecznie zdecydował się wyjechać do Ameryki. Sądził, że na zawsze. Odpłynął z Europy 13 grudnia 1852 r. Po długiej i niebezpiecznej podróży zderzył się z Ameryką boleśnie – był z jednej strony nieprzygotowany: nie miał użytecznego zawodu, ani siły do ciężkiej pracy fizycznej, a z drugiej strony,

był zapewne psychicznie zbyt wrażliwy, zbyt „miękki”, aby zmierzyć się z twardymi realiami codziennej egzystencji w nowym kraju. Prowadził życie nędzarza. Był zupełnie samotny. Snuł się, często chory, po Brooklynie i Manhattanie. Odbył jakąś wycieczkę, zapewne na zachód i północ od metropolii – zanotował, bowiem, że zetknął się z Indianami. Narastała w nim tęsknota za krajem, chęć ucieczki – tym razem z Ameryki. Ale nie miał pieniędzy na bilet. Szczęśliwie poznany w Nowym Jorku arystokrata polski, książę Marceli Lubomirski zaofiarował mu wreszcie pomoc, a gdy został akurat wezwany do Europy, zaprosił Norwida, aby mu towarzyszył w podróży. Przypłynęli do angielskiego portu w Liverpool 4 lipca 1854 r.

Norwid spędził następnie kilka miesięcy w Londynie, ale nie znalazłszy tam miejsca dla siebie, wrócił do Paryża. Lata 1860. i początek lat 1870. to najbardziej płodny okres jego twórczości. W tym samym czasie jego zdrowie podupadało, a sytuacja materialna stopniowo się pogarszała. W 1877 r. został umieszczony w przytułku im. Św. Kazimierza. Tam zmarł w 1883 r.

Duża część dzieł Norwida – niewydana za jego życia – zaginęła. Stopniowo zaczęto jednak odnajdywać rękopisy.

W krwioobieg polskiego życia literackiego wprowadził Norwida Zenon Miriam-Przesmycki, który opublikował wiele jego utworów

w wydawanym przez siebie czasopiśmie „Chimera” (1901-1908). Następnie zaś wydał wszystkie *Pisma do dziś odszukane* Norwida (w latach 1930. i 1940.). Kolejnej edycji *Pism wszystkich* Norwida dokonał Juliusz Wiktor Gomulicki (w latach 1971-1976), dodając do niej bezcenne kompendium: *Norwid. Przewodnik po życiu i twórczości* (1976). Trzeciego już wydania *Dzieł wszystkich* Norwida dokonuje Julian Maślanka (poczynając od 2013 r.). Liczni wielcy uczeni badali twórczość Norwida: Wacław Borowy, Juliusz Wiktor Gomulicki, Karol Górski, Mieczysław Inglot, Tomasz Miłkowski, Irena Sławińska, Zbigniew Sudolski, Sławomir Świątek, Wiesław Rzońca, Kazimierz Wyka i wielu innych, a sekundowali im uczeni francuscy, holenderscy, węgierscy i inni.

Stopniowo Norwid ogromniał. Zajmował coraz ważniejsze miejsce nie tylko w polskim życiu literackim, ale szerzej i głębiej w polskim życiu umysłowym, w kulturze, w polityce. Niedowartościowany wczoraj, okazuje się być z nami dziś.



Cyprian Kamil Norwid, „W więzieniu”, olej na płótnie (144.5×102 cm), Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. wikimedia commons

Norwid zwraca się do Narodu

Ogłuszony – z czasem – otaczającym go milczeniem środowiska literackiego, ciszą i brakiem odzewu na swoje utwory, apele, memoriały, przemówienia, listy, wykłady (a było to połączone z

postępującą fizyczną głuchotą[7]), zwracał się często – jakby ponad poszczególnymi niechętnymi wydawcami, niewrażliwymi odbiorcami listów, nieuważnymi słuchaczami wykładów – wprost do Narodu. Zwraca się w ten sposób do nas.

Zagadnienie narodu stoi dziś niewątpliwie w centrum wielu procesów, którym podlegamy, jest gorącym tematem dyskusji, jest przedmiotem konfliktów. Wystarczy wymienić tylko niektóre hasła – krążące w Internecie, omawiane głośno w parlamentach i po cichu na tajnych naradach: globalizm, nacjonalizm, patriotyzm, suwerenność narodowa, tożsamość narodowa. Wystarczy wskazać eksponentów dążeń do eliminacji państw narodowych: Organizacja Narodów Zjednoczonych, Unia Europejska, wielkie korporacje o globalnym zasięgu. Z drugiej strony można wymienić obrońców istnienia państw narodowych, dla który naród jest wielką wartością. Takie stanowisko zajmuje część elit polskich i słowackich. Taką politykę prowadzą Węgry. Niewątpliwie wielu miejscach globu istnieją jeszcze narody i są ludzie, którzy starają się je umacniać.

A co mówi o narodzie Norwid?

W przemówieniu do „wychodźtwa polskiego” w Brukseli w 1846 t. powiedział: Naród

> idzie przez krew, popiół, przez roczarowanie, przez słowo (…) i poświęcenie, i to, co DZISIAJ się nazywa.

> (…) Przez DZIŚ rozumiem to poświęcenie się codzienne i cogodzinne, cochwiliowe, i to widzenie w każdej osobie narodowego interesu.” (…) Bowiem NARÓD – Ziomkowie – to jest najstarszy po kościele obywatel na świecie.[8]

Ta potężna wizja ukazuje naród w drodze przez wieki. Norwid widzi pochód wielkiej rzeszy. Ta wizja jest dynamiczna. Bytowanie narodu jest w niej stawaniem się, procesem historycznym, wędrowaniem poprzez kolejne epoki, przez bitwy i pożogi, przez porażki i zdrady, przez przyjmowanie słowa (które może tu być rozumiane zarówno jako Ewangelia, jak i literatura), a wreszcie przez „codzienne i cogodzinne” działania i uczynki, które mają na celu dobro narodu. Naród w drodze ma swoją historię i tradycję. Ma swoje terytorium i swoje cechy szczególne. Swój język. Swoich bohaterów i świętych. Ma swoje aspiracje, tęsknoty, nadzieje, marzenia. Jest zarazem Naród zbiorem jednostek, jest osobą, jest „obywatelem”, jak głosi Norwidowa definicja.

W obszernym artykule, nieopublikowanym za życia oraz w

notatkach do niego, Norwid pozostawił sformułowane z przeczystą prostotą stwierdzenie, że naród to po prostu „dzieło miłości.” A w tejże nocie – on, oskarżany o „ciemność” – równie jasno napisał:

> Znicestwić żadnego narodu nikt nie podoła bez współdziałania obywateli tegoż narodu, i to nie bez współdziałania przypadkowego, częściowego, nominalnego, ale bez współdziałania starannego.[9]

Słowa te, nieczytane wczoraj – jawią się jako boleśnie aktualna przestroga na dzisiaj.

Poeta nieraz zastanawiał się nad tym, czym jest naród; nad stosunkiem narodu do jednostki z jednej strony, z drugiej zaś do ludzkości; nad relacją naród – Kościół. W myśli Norwida „naród” funkcjonował też jako szczególna cecha różnych manifestacji życia narodu jako całości. Pisał więc i mówił o narodowej sztuce, o pracy ducha w narodzie, o narodowej oryginalności, o narodowym interesie, o narodowej pracy. Przemawiając na emigracyjnym zgromadzeniu stwierdził kategorycznie:

> Trzeba pojęcie narodowej pracy mieć i poznać. Przez pracę idzie pojęcie oryginalności narodu i własnej narodu

> tożsamości. Praca jest tak dalece samodzielnością, że najemnik ulicę brukujący, jeśli tylko tak jak drudzy ręką rusza i nie wkłada w robotę swego oryginalnego akcentu, to próżniak. I doświadczony dozorca pracy oddala go. Pojęcie pracy narodowej całe być musi i zupełne, bo od brukującego ulicę do Kopernika tożsame jest i jedno. I jakkolwiek zbudujesz piramidy pracą niewolnika, jednakowoż nie postawisz niewolniczą pracą na nogi chromego narodu![10]

Naród był dla Norwida zawsze wartością i dobrem, punktem odniesienia i miarą; był centrum i krzakiem gorejącym jego myśli; przyciągał i promieniował.[11]

Dalszy ciąg ukaże się we wtorek, 11 maja 2021 r.

*

Referat wygłoszony przez prof. Kazimierza Brauna 27 lutego 2021 r., npodczas spotkania Oskar Halecki Institute in Canada w Ottawie.

*

Zobacz też:

> Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 2.

> „Za kulisami” Norwida w inscenizacji Kazimierza Brauna

> „Powrót Norwida” z okazji Jubileuszu Kazimierza Brauna.

Przypisy:

---

[1] Tak w wierszu *Klaskaniem mając obrzękłe prawice*, który otwiera zbiór *Vade mecum.* Dokładny cytat „Syn – minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku.” Termin „późny wnuk” funkcjonuje powszechnie w Norwidologii. Cyprian Norwid *Pisma wszystkie.* Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, t. 2, s. 17. Cytując poniżej to wydanie będę podawał tylko: *Pisma wszystkie.*

[2] Tak w liście do Józefa Bohdana Zalewskiego, z końca maja 1867, PW t. 9, s. 290. Całe zadanie: „Ani jednej w tych czasach książki polskiej nie dotykam bez znalezienia w niej, że, skoro tylko możność i tok, i styl, i margines pozwalają, natychmiast mnie uwierzgną i obcasem poczęstują.” Cyprian Norwid *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, t. 9, s. 290. Cytując poniżej to wydanie będę podawał tylko: *Pisma wszystkie*. Norwid, oczytany w Biblii, znał niewątpliwie werset Psalmu 41: „Nawet mój przyjaciel, któremu ufałem / i który chleb mój jadał, piętą we mnie godzi.”

[3] Wg. Juliusz Wiktor Gomulicki, *Cyprian Norwid. Przewodnik po życiu i twórczości*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 68.

[4] Felieton Władysława Dienheim-Chotomskiego,„Goniec Polski” nr. 18, 1851, (27 lutego 1851).

[5] Napisane przez Lucjana Siemieńskiego, opublikowane anonimowo. „Czas” 1851, nr. 191.

[6] *Pisma Wszystkie*, t. 8, s. 111-112.

[7] Cyprian Norwid został zaaresztowany w Prusach w drugiej połowie czerwca 1846 r. z powodu lekkomyślnego uwikłania się

w jakieś fałszerstwa paszportowe i uwięziony w Berlinie. Siedział najpierw siedem dni w ciężkim więzieniu w okropnych warunkach, a potem trzymany był przeszło miesiąc w więziennej klinice. Właśnie tam i wtedy, nabawił się trapiącej go przez resztę życia, postępującej głuchoty.

[8] *Pisma Wszystkie*, t. 7, s.9-10.

[9] [*Znicestwienie narodu*]*,* w: Cyprian Norwid *Pisma wszystkie.* Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, t. 7, s. 85. Cytując poniżej to wydanie będę podawał tylko: *Pisma wszystkie.*

[10] Kazimierz Braun, *„Mój" teatr Norwida.* Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2014, s. 187. Powyższy tekst pochodzi z: *Powrót Norwida. Monodram*. Oparty jest o: Cyprian Norwid, *Do Spartakusa (o pracy)*, *Pisma Wszystkie,* t. 6, s. 641.

[11] Różne rozumienia, aspekty i znaczenia nadawane przez Norwida słowu "naród" były analizowane w różnych publikacjach. Por. zwłaszcza praca Antoniego Dunajskiego, *Najstarszy po Kościele obywatel,* Pelplin 1996.

Pisanie należy do świata magicznego

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm (Wilmington, Delaware) rozmawia Jolanta Wysocka (Nowy Jork)



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Z-B

Cieszę się ogromnie, a ze mną wierni pani czytelnicy, że znów daje nam pani do ręki „delicje” swojego pisarstwa. Na rynku księgarskim bowiem ukazały się dwie pani książki: „Pisarskie delicje” (Bellona) oraz „Wokół Wańkowicza”(PIW). Zapytam najpierw o tę drugą. Jako asystentka wybitnego prozaika i spadkobierczyni jego archiwum wydała pani o nim swoje wspomnienia („Blisko Wańkowicza”) i tom esejów („Na tropach Wańkowicza po

latach”), ale potem napisała pani także wiele innych książek, niezwiązanych z pisarzem. Rozumiem, że pamięć o Wańkowiczu jest w pani wciąż żywa. Czy to pewne podsumowanie wspomnień o człowieku, którego pani znała? Dlaczego pani do niego powraca?

Wańkowicz wszedł do lektur szkolnych, to duża sprawa. Cenione wydawnictwo PIW wydało książkę o pisarzu, która przybliża jego niezwykłą osobowość, jego książki, różnorodną ich tematykę. Tom „Wokół Wańkowicza”, liczący blisko 700 stron, zawiera wszystko, co dotychczas napisałam o Wańkowiczu – oba tytuły, które pani wymienia, plus 300 stron uzupełnień. Przywołałam swoją pierwszą książkę „Blisko Wańkowicza” (która miała trzy wydania, 90-tysięczny nakład), gdzie przypominam, gdy jako studentka pisząca pracę magisterską na temat jego twórczości wysłałam do pisarza list. W odpowiedzi wyznaczył spotkanie. Przywiozłam ze sobą moje „prace zaliczeniowe”, które przeczytał na początku spotkania. Kiedy zorientował się, że ma przed sobą „pracusia z polonistyki”, zatrudnił mnie jako *researcherkę.* Przez kolejny rok studiów zbierałam materiały do „Karafki La Fontaine’a”, której drugi tom pisarz mi zadedykował („… bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”). Po ukończeniu studiów zostałam jego asystentką. Rok później pisarz zmarł. Cała znajomość trwała ledwie 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny pod wieloma względami okres. Po śmierci pisarza zajęłam się prowadzeniem

serii jego „Dzieł wybranych”, obroniłam doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, a także, mając 27 lat, napisałam pierwszą w życiu książkę.

Dlaczego teraz powracam do tematu autora „Monte Cassino”? Przez ostatnie lata nagromadziło się wiele nieporozumień, a nawet niepopartych żadnym dowodem oskarżeń. W książce umieściłam materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, a także przytaczam m.in. słowa Eugeniusza Wita (zesłańca syberyjskiego, który z armią Andersa zgłosił się do spadochroniarzy; wieloletniego adiutanta generalnego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce), który w 1958 roku był uczestnikiem debaty na temat skrótów książki „Monte Cassino”. Debata ta odbyła się na życzenie Wańkowicza w Nowym Jorku w środowisku weteranów. W jej wyniku stwierdzono, że „Wańkowicz miał rację co do wydania książki w Polsce. Dzięki niej ludzie dowiedzieli się o szczegółach tej bitwy i mogli być dumni. Książka była potrzebna, by przetrwać, podtrzymywała uczucia patriotyczne. Pomogła legendzie bitwy i legendzie żołnierza polskiego. Dzięki takim książkom rosło pokolenie, które marzyło o wolnej Polsce”.

Chcę podkreślić, że Wańkowicz był porządnym człowiekiem, niewmieszanym w żadne układy, był barwną i ciekawą postacią, nie żalił się, trzymał fason. Jego książki były uwielbiane, środowisko zazdrościło mu tego. Nie wytypowano go żadnej

nagrody – ani przed wojną, ani na emigracji, ani w Polsce powojennej. Mówił o tym z żalem, nie z dumą.

Nie jest powszechnie znane, że hojnie przekazywał pieniądze do kasy represjonowanym, a tuż przed śmiercią w 1974 roku przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą na owe czasy kwotę na ten sam cel. Wspierał finansowo opozycję demokratyczną w Polsce, o czym jest w książce szeroka wypowiedź Jana Olszewskiego.

Myślę, że tą książką zamknęłam swoje pisanie o autorze „Szczenięcych lat", chyba że pojawi się jakiś nowy atak i będę musiała wyjaśniać i tłumaczyć. Zawsze także służę pomocą każdemu, kto chciałby się zająć jego pisarstwem.

Dzięki pani książce poznajemy Wańkowicza nie z perspektywy biografa, zbierającego z różnych źródeł informacje o interesującej go postaci, ale z perspektywy osoby, która była z nim na co dzień, patrzyła na niego podczas pracy, czy też w ramach jego życia domowego. Nie skupia się pani na chronologicznym opisie wydarzeń. Dlaczego przyjęła pani taką formę?

Chciałam, by „Wokół Wańkowicza" była książką „do czytania", aby miała ton poważniejszy i ton lżejszy. Są w niej wspomnienia pisarza – jakiego znałam – także rozdziały analizujące jego

książki. Pokazuję okres przedwojenny, wojenny, gdy był korespondentem II Korpusu, jak zbierał materiał do najgłośniejszej swojej książki „Monte Cassino”.

Piszę o niełatwym pod wieloma względami okresie na emigracji (Zofia Wańkowiczowa sprzątała po domach), o decyzji powrotu do Polski w 1958 r. Obszernie omawiam proces wytoczony pisarzowi w PRL w 1964 r., o którym pisano dużo także w Stanach Zjednoczonych; interweniowali m.in. amerykański PEN Club, senator Robert Kennedy.

Przytaczam wspomnienia – jak zapamiętali go różni ludzie. Jest rozdział o pisarce Zofii Romanowiczowej, która była sekretarką pisarza przy pisaniu „Monte Cassino”, a po jego śmierci napisała poświęconą mu książkę: „Sono felice”.

Są także pokazane zbierane na niego liczne, nieraz wręcz żałosne donosy, które są w teczkach IPN.

Co jeszcze w książce „Wokół Wańkowicza” jest nowego?

Jest rozdział: „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny. Opowieść ‚Gryfa’”. Piszę o starszej córce pisarza, która zginęła w szóstym dniu powstania warszawskiego. Ojciec napisał o niej pięknie w „Zielu na kraterze”. O ostatnich dniach Krystyny ps. „Anna” opowiedział mi jej dowódca Janusz Brochwicz-Lewiński ps.

„Gryf”, do którego udało mi się dotrzeć w 2010 roku. Krystyna została pochowana w prowizorycznej mogile. Zofia Wańkowiczowa, która wiosną 1945 r. uczestniczyła przy odkopywaniu tego grobu, zapewne nie rozpoznała ciała córki. Nie wiedziała, że Krystyna obcięła warkocze, że zamiast spódniczki plisowanej, w której wyszła do powstania, miała na sobie mundur. Niestety, Zofia i Melchior Wańkowiczowie nie wiedzieli o tym. O tym dowiedziałam się ja – 56 lat później. Jest to jedna z bardziej przejmujących opowieści, o której w swoim życiu napisałam.

Wańkowicz w testamencie pozostawił pani swoje archiwum. Czy udostępnia je pani zainteresowanym? Czy dokonuje pani selekcji, które materiały mogą ujrzeć światło dzienne, a których lepiej nie ujawniać?

Archiwum jest w moim warszawskim mieszkaniu, część przekazał sam pisarz i część ja – po jego śmierci – do Ossolineum. Każdemu, kto do mnie się zgłosi, udzielam pomocy. Gdy jestem w Polsce, robię kopie listów, artykułów i wysyłam zainteresowanym. Jak dotąd, udostępniłam archiwum prof. Marcinowi Kuli, Robertowi Jarockiemu (materiały dotyczące tematu żydowskiego), listy Kazimierza Wierzyńskiego – Pawłowi Kądzieli, korespondencję Zofii Kossak-Szczuckiej – Mirosławie Pałaszewskiej, materiały związane z tematem Westerplatte – dr Krzysztofowi Zajączkowskiemu, ogólne Annie Malcer-Zakrzackiej

z Gdańska, piszącej pracę doktorską na temat autora „Szczenięcych lat”, Bartoszowi Bajkowi – korespondencję pisarza z Florianem Czernyszewiczem, autorem książki „Nadberezyńcy”.

Zamierzam przekazać archiwa Wańkowicza do Biblioteki Narodowej lub – jako kontynuację – do Ossolineum.

Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że o Wańkowiczu powoli się zapomina. Czy tę konstatację może pani powtórzyć również dziś? Czy może jednak coś się zmieniło? Jak widzi pani w tym procesie swoją rolę?

Jest lepiej. Ważne jest wejście do lektur szkolnych, o czym wspomniałam. Ważne jest, aby książki były wznawianie, by pisać o nich. Moim swoistym obowiązkiem jest czuwać nad spuścizną Wańkowicza. Pod moją redakcją wydane zostały wielotomowe serie, ostatnio 16-tomowe „Dzieła wszystkie” (wyd. Prószyński i S-ka), w której po raz pierwszy ukazały się teksty o tematyce żydowskiej czy o Wołyniu. Chciałabym, by była wznowiona biografia pisarza pióra Mieczysława Kurzyny.

Ważna jest doroczna ceniona Nagroda im. Wańkowicza za radiowy reportaż. Są szkoły jego imienia, jest pomnik autora „Na tropach Smętka” w Piszu, na Mazurach. Imię pisarza noszą ulice w całej Polsce – np. w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie, Koszalinie, Jeleniej Górze, w

Radwanicach, w Bolesławcu, Bartoszycach.

W książce wydanej po angielsku w 2013 r. w Stanach Zjednoczonych pt. „Melchior Wańkowicz Poland's Master of the Written Word" nazwałam go „polskim Hemingwayem" – ze względu na bogatą osobowość, popularność, różnorodną tematykę książek, niezwykłe życie, przemieszczanie się. W 1958 r. wyjeżdżał z USA oskarżany przez Polonię o „powrót do komunistów". Po ponad pół wieku wrócił za Wielką Wodę – książką o sobie. Książka ma drugie wydanie.

Jest pani autorką innych książek, które ukazały się także w języku angielskim. Po polsku i po angielsku zaczęły się ukazywać pani książki jako audiobooki. Wydała pani w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych dziewięć tytułów i trzy w Kanadzie. Jako dwie pierwsze ukazały się książki o Indianach i o… kotach… O angielskojęzycznych pani wydaniach pisali m.in. znani z książki „Sprawa honoru" Stanley Cloud i Lynne Olson, a także wielu innych, jak chociażby: Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Bruce Johansen, John Mensch, Larry Cunningham, Irene Tomaszewski, Jerzy Krzyżanowski, Anna Cienciała, Piotr Wandycz, James S. Pula, Charles S. Kraszewski, Ewa Thompson, Mary Lanham, Florence W. Clowes. Proszę przypomnieć tytuły pani angielskojęzycznych książek.

W Kanadzie ukazały się „Dreams and Reality”, „The Roots are Polish” i książka o senatorze polskiego pochodzenia „Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians”.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od 1990 roku, najpierw ukazała się książka o tematyce amerykańskich Indian (piszę m.in. o stryju, rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim, który rozpoczął budowę w skałach pomnika Crazy Horse’a) – „Open Wounds a Native American Heritage” (polska wersja: „Otwarta rana Ameryki”); jej wydanie sponsorowali Apacze, po ukazaniu się recenzowały ją pisma indiańskie.

Druga amerykańska książka opowiadała o podróżach… z moją kotką: „On the Road with Suzy from Cat to Companion” (polska wersja, dwa wydania: „Podróże z moją kotką”). Dwa lata szukałam wydawcy na książki o tematyce historycznej – nasze polskie losy „z wojną w tle”. Są to: „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” (polska wersja ma już trzecie wydanie: „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” (wyd. Muza), „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come” (polskie wydanie: „Lepszy dzień nie przyszedł już”), „Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England” (za tę książkę otrzymałam Fellowship in Literature by the Delaware Division of Arts). Książki te mają drugie wydania w tzw. miękkiej okładce. W 2018 r. ukazała się „Untold Stories of Polish Heroes from World

War II”.

Napisałam także książkę „Ingrid Bergman and her American Relatives” (aktorka była bliską kuzynką mojego męża Normana) – polska wersja “Ingrid Bergman prywatnie” – a także książkę o moim życiu pt. „Love for Family, Friends, and Books” (polska wersja, dwa wydania: „Ulica Żółwiego Strumienia”).

Ogólnie powiem, że najlepiej się miewa książka o podróżującej kotce Suzy „On the Road with Suzy from Cat to Companion”, która ukazała się w 2010 r. i wciąż ma dodruki.

Porozmawiajmy teraz o drugiej książce, która też niedawno się ukazała w Polsce, czyli o wydanych przez znane wydawnictwo Bellona „Pisarskich delicjach”. Są to pani rozważania o własnym warsztacie pisarskim. W jednym z rozdziałów napisała pani, że bohaterka książki „Kaja od Radosława” odwdzięczyła się, zapisując pani… miejsce w grobie na Powązkach.

No właśnie, czy wielu autorów otrzymało taki prezent od swoich bohaterów?

W tej książce chciałam się podzielić doświadczeniami z procesu pisania. Zastanawiam się w niej, czym jest dla mnie literatura faktu, jak się układały relacje z ludźmi, którzy opowiedzieli mi

swoje losy. A także, jak po ukazaniu się książek niektóre ich tematy pokazywały „inne, nowe wątki”.



Tablica pamiątkowa poświęcona Melchiorowi Wańkowiczowi, Warszawa, Nowy Świat, fot. wikimedia commons

W „Pisarskich delicjach” poświęciła pani rozdziały m.in. takim mistrzom pióra i publicystyki, jak Jerzy Giedroyć czy Isaac Bashevis Singer. Dlaczego właśnie oni stali się współbohaterami pani opowieści?

Piszę o tym, jak wspaniałą lekcję „zaczepienia tematu” dostałam w czasie spotkania z Isaakiem Singerem w Nowym Jorku we wrześniu 1985 r., gdy byłam stypendystką Fulbrighta. Spotkanie Singera było dużym wydarzeniem w moim życiu. Podarował mi swoje książki z dedykacjami, a także książkę z ręcznymi poprawkami do nowego wydania. Otrzymałam też od niego fotografię z piękną dedykacją. Odpowiedział na wiele moich pytań, m.in.: jakie ma rady dla młodych pisarzy. Przytaczam je w „Pisarskich delicjach”.

Jerzy Giedroyc – z którym wymieniłam ok. 200 listów; pisywałam do „Zeszytów historycznych” i paryskiej „Kultury” – zaprosił mnie do współpracy przy porządkowaniu jego korespondencji z Melchiorem Wańkowiczem. Pytał też o moją kotkę, o Indian, którymi bardzo się interesował, ale jednocześnie mieliśmy inne zdania na temat osoby Wańkowicza, którego ja „broniłam”. Napisał, że jestem „emocjonalna”, jeżeli chodzi o pisarza, a ja odpowiedziałam, że nazywam to „lojalnością”. Giedroyć wymienił swój wstęp do tomu korespondencji, nowy napisał ładnie – z szacunkiem i podziwem. Jestem mu wdzięczna, że dał się przekonać.

Czy można uznać, że w zdaniu w „Pisarskich delicjach”: „Pisanie pojmuję… jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie: własnym upodobaniom czy wręcz fascynacjom”, zawarła pani swego rodzaju *credo* pisarskie, a być może

także życiowe?

Moje rozumienie pisania nie musi być zbieżne z przemyśleniami innych. Pisanie pojmuję – najogólniej mówiąc – właśnie niemal jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie. Czasami mówię: żeby mi życia starczyło, abym mogła spokojnie przemyśleć, wysłuchać, poczytać, zrobić notatki, i wreszcie – napisać.

„Pisarskie delicje" zaczęłam od eseju, że pisanie należy do świata magicznego, i wielu z nas chciałoby w nim zamieszkać. Nawet tylko znalezienie się w jego kręgu daje dużo wrażeń i uczy… pokory. Dobre pisanie to połączenie ciekawej formy i treści. Kiedy sposób pokazania jest tak samo piękny jak opowiedziana historia – to zazwyczaj powstaje interesująca literatura.

Każdy autor chciałby, by jego książka była ważna i oryginalna, by skłaniała do refleksji. Pisząc, chcemy przekazać innym nasze obserwacje, emocje, odczucia, wrażenia i fakty.

Pisząc, za każdym razem jakbym reagowała na rzeczywistość, ludzi i na zdarzenia wokół siebie. Jakbym chciała odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest nasze życie?".

Opowieści innych zawsze mnie interesowały, chętnie ich wysłuchuję i czasami chcę o nich także napisać. Również moje własne życie dostarcza mi emocji, które często są inspiracją.

Piszę o tych dobrych, i o tych gorszych, i jest to rodzaj swoistej terapii, gdy dzielę się swoimi przemyśleniami i obserwacjami z innymi. Tak jak wszyscy, wciąż uczę się żyć, potykając się, nie raz i nie dwa. Chciałabym zrozumieć swoje życie i świat wkoło mnie, pisząc, przybliżam i w jakiejś mierze przyswajam sobie nowe i nieznane zjawiska.

Pisze pani o literaturze faktu, podkreśla jej wagę we współczesnym świecie…

Dwudziesty pierwszy wiek od samego początku należy do literatury faktu, i zapewne taki pozostanie. Gdy wchodzi się do sieci księgarń *Barnes and Noble,* widać przede wszystkim monografie, biografie, wspomnienia, omówienia, pamiętniki, dzienniki, wywiady, wyjaśnienia, relacje.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Chce śledzić, co się dzieje w świecie, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą. Na temat wielu spraw i zjawisk pragniemy wiedzieć więcej, czasami je zgłębić lub choćby „coś” lepiej zrozumieć. Chcemy wiedzieć także o sprawach nam, Polakom, bliskich, o naszej historii, naszych wielkich postaciach, ale i o przeciętnym człowieku, by się z nim identyfikować. Może chcielibyśmy wyciągnąć nowe wnioski z naszej przeszłości, nawet wiedząc, że

„historia lubi się powtarzać”.

Jak pani patrzy na pojęcie kreatywności w literaturze faktu?

Autorzy *non-fiction* mają swoisty kontrakt z czytelnikiem: nic nie wymyślamy. Wszystko, o czym piszemy, jest oparte na dokumentach, faktach, ustalonych relacjach, i autor winien o tym napisać czytelnikowi. Uważam, że mimo tych trudności, pole do kreatywności jest duże.

Pisarz, który wybiera literaturę faktu jako swój warsztat i tematykę, zdaje sobie sprawę od początku, i z czasem coraz bardziej przekonuje się, przed jakimi staje zadaniami. Przede wszystkim musi dbać, by jego przekaz zawierał prawdę – zarówno miejsca i czasu akcji, jak postaci, które pokazuje. Prawdziwe muszą być ich wybory i motywy działania, ich życie, dobry los, tragedia i ból, potknięcia, rozczarowania, upadki, jak i radości, i satysfakcje. Różne są sposoby pokazania wybranego bohatera i jego losów, zdarzeń wokół. Trudność polega na tym, jak przekazać prawdę, która jest „moją prawdą” lub prawdą „innej osoby”. Czy jest jedna prawda? To jest temat nieraz skomplikowany.

A co jest ważne przy pisaniu? Co przeszkadza, powstrzymuje od pisania?

Ważne jest, aby autor umiał zaangażować, wciągnąć emocjonalnie czytelnika w tok swojej opowieści. Kreatywność piszącego polega na wyborze perspektywy, która jak oko kamery pozwala zatrzymać i skupić się na wybranym szczególe. Skupić tak, by zwrócić uwagę czytelnika. Podając szczegóły niejako wciąga się czytelnika w akcję, uruchamia jego wyobraźnię. Wstrzemięźliwość ma ważną rolę w opowiadaniu, może wykreować dramat i napięcie. Powiedzenie „za dużo" zabiera napięcie, gadulstwo narratora niszczy tekst.

Co powstrzymuje od pisania? Dziesiątki spraw, ludzie, świadomość, że tyle już napisano, że jakże wiele się pisze, że nieraz wręcz gadulstwo nas otacza… Ale jednocześnie jakże piękne i szlachetne jest przekonanie, że ktoś chce się podzielić się z innymi ważną sprawą. Uważam, że każdy z nas ma swoją własną opowieść i może ją napisać, opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest zagadnienie osobne.

Podkreśla pani także poświęcenie…

Pisanie wymaga nieraz wielkiego poświęcenia. Zdarza się, że wszystko inne wkoło jest ważniejsze, jakby właściwsze. I zapewne często tak właśnie jest. Są i inne przypadki, kiedy

trzeba umieć uciszyć głos w sobie, który przeszkadza, nieraz wręcz jest naszym wrogiem. Może nas buntować, może stawiać pytania: „komu – na co – po co?”, i może proponować wiele ciekawych zajęć i niemałych przyjemności. Także wygoda i lenistwo zawsze podpowiadają oglądanie kolejnego programu telewizyjnego, który nas tak bardzo nie interesuje, szperanie w internecie, drzemkę, gadulstwo przez telefon, mówienie nieraz wciąż „o tym samym”.

W aneksie do książki zatytułowanym „Bądźmy dobrzy dla pisarzy” uświadamia pani, że „pisanie to długie godziny samotności przed kartką papieru (teraz głównie przed komputerem), to są godziny i dnie całe zmagania z własnym lenistwem, niewiedzą, to odsuwanie wielu spraw na bok, wielu spotkań, nieraz wielu małych i większych przyjemności”.

Pisanie to poświęcanie godzin na pracę, która nie zawsze jest odbiciem naszych starań i nadziei, nierzadko przynosi wyobcowanie, gorycz i pustkę. Pisanie to długie godziny samotności, a po jakimś czasie – lata samotności. Czytajmy biografie pisarzy, wiele nam dadzą. Jak wiele książek pomogło nam przejść przez trudności, przez załamania… Pamiętamy książki, które wywołały nasze wzruszenie, łzy i uśmiech. Książka cenna i ważna – gdy jest taka – wzrusza, uczy czegoś nowego, poszerza naszą wiedzę, zmienia nasze zdanie, naszą opinię,

rozszerza punkt widzenia, obchodzi go z różnych stron, uwrażliwia, wywołuje refleksje, daje nadzieję…

Pisze pani o procesie twórczym, zaangażowaniu, cyzelowaniu treści…

Pisarz powinien być zaangażowany emocjonalnie w temat, ale nie pokazywać swoich uczuć. Jak mówię: emocje popychają mnie do pisania, ale potem tekst odkładam, by się „uleżał". Po jakimś czasie sięgam po niego i go cyzeluję, „udoskonalam". Zbieram komentarze. Wszelkie emocje szczególnie fatalnie brzmią po latach.

Im temat trudniejszy, tym trzeba być oszczędniejszym w słowach, powściągliwszym, unikać przymiotników. Im poważniejszy, tym trzeba go podać spokojniej. Komentarz i różne odczucia powinien wywołać u siebie czytelnik w czasie lektury. Nie powinna być mu wskazana gotowa interpretacja, podsunięta i wypowiedziana przez narratora, pisarza. Trzeba podać obraz tak, by czytelnik sam wyciągnął wnioski. By wstrzymał oddech. Nie należy pisać gotowych komentarzy, czytelnik sam powinien się wzruszyć, zdziwić, zakłopotać, zastanowić, pomyśleć… Gdy to nie następuje, to znaczy, że „nie udało" mi się, nie potrafiłam…

Nieraz pokazuję losy rozbitych wojennymi wypadkami rodzin, dramaty pojedynczych osób. Wydawca amerykański napisał mi,

że poprzez pokazane losy czytelnik się identyfikuje i wzrusza, i że tak się dzieje także dlatego, że nie wstawiam własnego komentarza.

Tak właśnie pojmuję pisanie…

Rozmawiała: Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

Wywiad ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, 20.09.2019 r.

*

Zobacz też:

> Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków

> Pisarskie delicje i remanenty

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków



Melchior Wańkowicz, fot. Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

Marcin Kula *(Polska)*

Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm imponuje rozmiarami oraz zapleczem materiałowym. W swoich opisach i analizie autorka wykorzystuje po pierwsze wiedzę, jaką zyskała, będąc przez lata sekretarką i asystentką Melchiora Wańkowicza. To jej przekazał swoje, skrupulatnie prowadzone archiwum, toteż miała dostęp do notatek pisarza, jego listów i wycinków. Sama

korespondowała z mnóstwem ludzi, którzy mieli z nim kontakt. Prześledziła publikowane reakcje na jego książki. Przejrzała odnoszące się doń akta w archiwum paryskiej „Kultury” i w IPN… To nie jest „tylko” książka wspomnieniowa. Wspomnienia zostały w niej połączone z rezultatami wielkiej pracy, której trud przede wszystkim historyk potrafi docenić.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm stała się naszym przewodnikiem po drogach życia Wańkowicza. Widzimy jego codzienne bytowanie, różne prywatne sprawy, czytamy listy – co zresztą jest ciekawe nie tylko dla tej postaci, ale również dla refleksji nad historią kultury szeroko rozumianej. Towarzyszymy pisarzowi w smutku ostatniego okresu, kiedy był chory:

> Gdy pytałam, co go gnębi, opowiadał historie często sprzed lat, przypominał całożyciowe przykrości. Wszystko to, co mówił, było smutne, przygnębiające, czasami zdumiewające… – s. 97.

Z książki można się dowiedzieć o najróżniejszych sprawach, z którymi Wańkowicz mial kontakt – na przykład o historii wydawnictwa „Rój”, o życiu emigracji, o paryskiej „Kulturze”. Także o sporach i namiętnościach nie tylko literackich wokół dzieł pisarza (na przykład o druku przez Związek Niemieckiego Wschodu niemieckiego tłumaczenia „Na tropach Smętka”, z

numerowanymi egzemplarzami, dla poznania metod Polaków – co mojemu pokoleniu niestety żywo przypomina, dajmy na to, biuletyny tekstów zachodniej prasy, nawet tekstów audycji WE, przygotowywane dla osób zaufanych w PRL).

Badania autorki w zakresie życia i twórczości Wańkowicza były zbieżne – bowiem dzieło pisarza było wyjątkowo splecione z jego życiem. To był człowiek, który nie przestawał być reporterem

> **Wańkowicz:** Gdy jadę tramwajem, coś zmusza mnie do tego, bym się dowiedział, jaką książkę czyta ów pan w przeciwległym kącie wozu. Śledzę jakąś parkę na przestrzeni kilku ulic, aby się dowiedzieć, jakim mówią językiem. Zaglądam do cudzych okien, odczytuję wszelkie szyldziki na drzwiach mieszkań kamienicy, do której przybywam w odwiedziny, szukam na cmentarzu znajomych nazwisk. Obojętnych mi ludzi wypytuję o ich życie. Niezwykłe nazwy ulic zmuszają mnie do zastanowienia się, dlaczego one tak właśnie brzmią. Chciałbym przetrząsnąć każdą rupieciarnię i każdy stos starych papierów. Każdy napis „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do przekroczenia zakazu, każda tajemnica zachęca do jej zgłębienia – s. 181.

Przeprawiając się wpław przez Dniestr pod koniec września 1939 r., Wańkowicz przeniósł maszynę do pisania (!). Potem pisał czy

to o „codzienności” wojennej tułaczki, czy o wielkich sprawach. Gdzie go los rzucił, tam obserwował i opisywał otoczenie. Gdy go ten los uwikłał go w wojnę, tworzył obraz wojny. Gdy zaniósł go do Palestyny, to tam rozwijał swoje zainteresowanie Żydami i syjonizmem. Fascynował się Ameryką, gdzie spędził dziewięć lat. Żyjąc wśród emigrantów, obserwował i definiował dylematy, wobec których stali

> **Wańkowicz:** W 1949 roku sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata. I rozleci się. Iść za stroną skazaną na przegranie przeciw Rosji, jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej – zakłamaniem publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika – s. 278.

Gdzie Wańkowicza coś interesowało – tam starał się pojechać (bolszewicka Rosja, Meksyk okresu wojny religijnej). Po latach Ryszard Kapuściński zaczął pewien ustęp, chyba nie zdając sobie sprawy jak charakterystyczne dla siebie formułuje zdanie: „Gdy jechałem na rewolucje do…” (dalej padła nazwa jakiegoś kraju afrykańkiego, której już nie pamiętam). Podczas jakiejś konferencji o problemach społecznych w Ameryce Łacińskiej Kapuściński wyszedł, mówiąc, że wróci później – bowiem dotarło do niego, że właśnie w tym mieście, trochę dalej, rozgrywa się

bijatyka manifestantów z policją; poszedł tam zatem, by samemu obejrzeć ekspresję problemów społecznych. Właśnie taka była odpowiednio wcześniej postawa Wańkowicza. Kapuściński nie musiał go oczywiście naśladować – ale przynajmniej w tym wymiarze postawa wielkich twórców reportażu była podobna.

Pisząc swoje reportaże, Wańkowicz z pewnością nie myślał o przyszłych historykach. Stworzył jednak dla nas niezwykłe źródło – i w tym sensie stał się towarzyszem naszej podróży w czasie. Dysponujemy różnymi źródłami – ale reportaże z epoki mówią do nas w inny sposób niż materiały aktowe, nawet niż różnego typu raporty. To są opisy zawodowych i zapasjonowanych obserwatorów, którzy najczęściej umieją patrzeć, analizować i uogólniać. Wystarczy zresztą popatrzeć na współczesnych polskich reporterów (by wymienić przykładowo: Jacka Hugo-Badera, Adama Leszczyńskiego, Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Mariusza Szczygła, Małgorzatę Szejnert, Wojciecha Tochmana…).

Przyzwoity reporter to obserwator nieraz bardziej wiarygodny niż wielu innych autorów źródeł opisowych, gdyż najczęściej jest mniej od nich zainteresowany osobiście sprawą, o której pisze. Nadto najczęściej stara się zrozumieć obserwowanych ludzi, wczuć się w ich pasje. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że reporter pójdzie mocno w kierunku literatury, że – jak wielki malarz – przedstawi atmosferę sytuacji nawet kosztem

dokładności jej odzwierciedlenia. Wańkowicz, jak pisze autorka, „wprowadził reportaż polski na szerokie drogi literatury faktu" (s. 175). Czasem obserwowano takie podejście u Kapuścińskiego, którego teksty czyta się znakomicie i z pożytkiem dla zrozumienia biegu spraw, ale czasem z pytaniem, czy odmalowane w szczegółach sytuacje doprawdy tak wyglądały. Teksty Wańkowicza chyba mogą być jednak źródłem nawet dla historyka najbardziej wiernego kanonom uprawianego zawodu. Nie da się dziś pisać o Polakach w Prusach Wschodnich, czy o COP-ie, bez ich lektury. Sam *notabene* z pożytkiem korzystałem z wańkowiczowskich reportaży dotyczących Palestyny i Meksyku. Ciekawe były wrażenia pisarza z bolszewickiej Rosji. Niektore z jego reportaży były dosłownie unikalne – jak wywiady z Rydzem-Śmigłym i z Beckiem w Rumunii, czy z Abrahamem „Yairem" Sternem, żydowskim terrorystą poszukiwanym przez Anglików. Wańkowicz, będąc w Palestynie, starał się o kontakt z nim. Nie mógł go uzyskać – co nie jest dziwne. W końcu dostał wiadomość, że ktoś przyjdzie do niego wieczorem i od przebiegu rozmowy zależy, czy dojdzie do spotkania. Rozmowa toczyła się przez całą noc. Gość ulotnił się po końcu godziny policyjnej. Trochę później Wańkowicz wyszedł na ulicę i na plakatach z ogłoszeniami o osobie poszukiwanej zobaczył swojego rozmówcę.

Wątkiem interesującym dla historyka jest jednak także samo życie Wańkowicza. Biologowie mawiają, że patrząc na kroplę

wody pod mikroskopem można wiele dowiedzieć się o nadspodziewanie szerokich zagadnieniach. Bogate życie Wańkowicza mogłoby być pryzmatem, przy pomocy którego dałoby się napisać kawał historii Polski. Niektóre jego etapy dokumentował sam Wańkowicz, inne – albo te same – opisała oraz zilustrowała dokumentami autorka. W książce pojawia się życie przedwojenne pisarza, dzieje wydawnictwa „Rój", zawirowania wojenne, jego życie na emigracji i (co ważne!) wśród emigrantów, kontakty z „Kulturą", decyzja o powrocie i jej echa w środowisku emigracyjnym… no i życie w PRL. Ten ostatni etap bardzo mnie zainteresował – bowiem nasunął mi pytanie jakie okoliczności sprawiły, że w komunistycznej Polsce Wańkowicz mógł być tak wielką postacią. Potwierdził też moje przekonanie, wywiedzione zarówno z pracy zawodowej, jak ze wspomnień, o niekoherencji tego systemu, przynajmniej po 1956 r.

Stwierdzenie, że Wańkowicz był wielką postacią bowiem był wielkim pisarzem, jest tylko częściową prawdą. W PRL nie on jeden był wybitnym pisarzem, a mało kto został tak zapamiętany. W końcu władze mogły nie dopuścić, by rósł w siłę jako pisarz. Myślę, że jego popularność w pierwszym rzędzie budowały cechy osobiste. PRL była w znaczącym stopniu krajem ludzi szarych i typowych. Nawet wśród relatywnie znanych postaci mało było oryginałów, osób nietuzinkowych, nieszablonowych. Takich władza zresztą nie lubiła. Wańkowicz zaś taki był. Robił wrażenie

swoją postawą, przynajmniej zewnętrzną pewnością siebie, rozbudowanym *ego*

> Ileż różnych cech miał w sobie ten czlowiek! Był jednocześnie i egoistą, i gotowym do poświęceń, wielkim łgarzem, egocentrykiem, gruboskórnym, a także wrażliwym na ludzkie cierpienie, lękającym się o sobie myśleć jako o wielkim pisarzu, delikatnym, czułym, tkliwym. Był sprzecznością. Sama nie wiem, które cechy dominowały, zależało to od ludzi, od układów, od sytuacji – s. 101.

> Był sprzecznością: i chciał, i nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci – s. 110.

Bardzo mało było w PRL ludzi utrzymujących styl człowieka „do wypitki i do wybitki”, przypominających szlachcica we dworze, prowadzących otwarty dom, gdzie bywała „cała Warszawa”.

> Lubił przyjmowć ludzi, lubił dawać dobrze zjeść. Ugaszczał ich delicjami, smakołykami, wyszukanymi różnościami, jak ośmiorice, ślimaki, żaby itp. – s. 103.

Był trochę człowiekiem dawnych czasów – co w PRL nie zdarzało się często, przynajmniej wśród osób funkcjonujących publicznie. Utrzymywał szeroką korespondencję, masowo otrzymywał listy od najróżniejszych nadawców, w tym od „zwykłych ludzi". Wątpię, czy wiele znanych osób w ówczesnej Polsce odpowiedziałoby na list z pytaniem, czy dziecko ma nazwać psa „Dupek" (imię psa Wańkowicza), czy „Melchiorek" (oczywiście od imienia samego pisarza). Jeszcze mniej odpowiedziałoby następująco:

> Drogi Kubusiu, odbyłem z Dupkiem naradę, ale na razie do niczego nie doszliśmy: on chciał, żeby Twój piesek nazywał się Dupek, a ja – żeby Melchiorek. Ale stało się tak, że już jedna dziewczynka nazwała swój jasiek Melchiorkiem, a biednego Dupka nikt jeszcze nie uczcił. Wobec czego powiedziałem Dupkowi „mądry głupiemu ustąpi", na co on zamerdał ogonkiem. Ale powiedziałem: dobrze, niech piesek Kubusia zostanie Dupkiem Nr 2 i nie przynosi wstydu, ale na drugie imię niech ma Melchiorek. Na co Dupuś polizał mnie w nos, a więc się zgodził. Tak więc, jeśli Twój piesek będzie miał synka, to mu koniecznie wpisać należy imię ojca: „Dupek-Melchiorek". Daj mu z powodu tych chrzcin jakąś honorową kość. Całuję Ciebie – Melchior Wańkowicz (s. 63-64).



Grupa polskich uczestników kongresu podczas pobytu w poselstwie polskim, X kongres PEN Clubów w Budapeszcie w 1932 roku. Stoją od lewej: Władysław Korsak, Mieczysław Grydzewski, Romana Kaden-Bandrowska, Jan Tomcanyi, Breiterowa, Witold Hulewicz, Julisz Kaden-Bandrowski, Szalom Asz, **Melchior Wańkowicz,** Zdzisław Kleszczyński, Stefania Podhorska-Okołów, profesor Huzarski, Kazimierz Wierzyński, siedzą: Dobrowolska, Wańkiewiczowa, Wieleżyńska, Łepkowska, poseł Stanisław Łepkowski, ks. Lubomirska, Stella Olgierd, rtm. Nitman, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pisarz był – co wówczas rzadkie – człowiekiem-firmą, autorytetem otwartym na kontakty, wręcz lubiącym chcących się

do niego zbliżyć. Zatrudniał sekretarkę, budował dom, gromadził własne archiwum, produkował mnóstwo tekstów. Był atrakcyjny jako człowiek z Zachodu. Jako ten, który wrócił, był dla władz do pewnych granic wygodny. Jego dzieła znajdowały uznanie czytelników w różnych gronach – także w szeroko rozumianym środowisku ludzi władzy. Wówczas było w nim przecież już znacznie więcej ludzi o mentalności z grubsza przeciętnej niż charakterystycznej dla wiekowych komunistow. W latach sześćdziesiątych PZPR coraz bardziej uderzała w nutę patriotyczną. Robiła to i dawniej, ale wówczas ta patriotyczna stopniowo stawała się niemal jedyną. Coraz częściej wracał klasyczny dyskurs o bohaterstwie Polaków. Oczywiście, cała ta ewolucja miała ograniczenia – ale zaryzykuję powiedzenie, że właśnie dlatego mówienie o Monte Cassino było dla ówczesnych władz wygodniejsze niż mówienie na przykład o AK i Powstaniu Warszawskim. W ramach tej ewolucji Wańkowicz mógł być nawet wygodny z punktu widzenia władz. Prawda, bywały z nim kłopoty. Nie chciał siedzieć cicho. Podpisał list 34. Praktycznie nie ukrywał swoich myśli. Gdy przyszedł kiedyś do mojego liceum na spotkanie z młodzieżą, ktoś z uczniów (nie ja!) zapytał go dlaczego nie pisze o… i tu wymienił jakąś sprawę wtedy drażliwą, doprawdy nie pamiętam już jaką. Pisarz odpowiedział jednym słowem: „Dlatego”. Brak mi talentu Wańkowicza (sic!), by oddać tę scenę – ale nikt na sali nie miał wątpliwości, że miało to znaczyć, iż władza nie pozwala. Niemniej jednak narastający w latach sześćdziesiątych moczaryzm go potrzebował. On zresztą

przyjmował w domu niektórych ludzi wyraźnie o takiej orientacji (Załuskich, Jana Zygmunta Jakubowskiego) – trudno powiedzieć, czy cynicznie, czy z prawdziwej chęci. Na tym tle proces Wańkowicza był czymś więcej niż strzeleniem sobie przez establishment w stopę:

> Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, otrzymywał kwiaty i listy od czytelników. Znany był powszechnie wypadek, kiedy przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, ukłonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie – s. 358.

Ten proces był czymś sprzecznym z logiką ówczesnej ewolucji PZPR. Całe posunięcie bardziej pasowało do Gomułki niż do Moczara i wszystkich ówczesnych arywistów z tego okresu. Nie mam na to żadnych dowodów, ale odnoszę wrażenie, że proces Melchiora Wańkowicza (1964) był nie tylko ukaraniem pisarza przez Gomułkę ze złości za niepodporządkowywanie się PRL-owskim władzom, ale również komunikatem dla środowiska literackiego, że władza jest zdecydowana wymóc posłuszeństwo (jeśli nie zawahała się zamknąć, postawić przed sądem i skazać na 3 lata tak wybitnego pisarza, na dodatek mającego wtedy 72

lata…). Ostatecznie władza nie zdecydowała się uwięzić Wańkowicza – choć istnieje legenda jakoby on w pewnym sensie nawet chciał tego. Trudno oczywiście powiedzieć, że ktoś chce siedzieć w więzieniu – ale on też w swojej roli oskarżonego coś rozgrywał.

Logiki trudno się było doszukać w systemie także w przedstawianych w książce mniejszych sprawach. Po przyjeździe do Londynu pisarza odległego duchowo (i zaznaczającego swój dystans ukrytymi, ale przecież wyczuwanymi przez władzę czynami) witał na miejskim teminalu lotniczym konsul z koniakiem i kwiatami. Zasłużony dla wydawania Wańkowicza wydawca utrzymywał jakieś mętne konszachty z SB w wysiłkach pozyskania jego archiwum, zresztą nie udanych. Jak owego wydawcę dzisiaj oceniać – nawet tylko w ramach tematu „Wańkowicz"? Co było ważniejsze?

Józef Tejchma, wicepremier i Minister Kultury, osłaniał pisarza i pozostawał z nim w prywatnych stosunkach tak bliskich, że ten do jego żony pisał wierszyk: „Tejchmo Alicjo, Moja delicjo…" (s. 84). Pisarz aresztowany, z rewizją przeprowadzoną nawet w zawodowych materiałach, był jednak przetrzymywany w dobrych warunkach poza regularnym więzieniem. Został skazany, ale zwolniony od odbycia kary. Skazany, ale przyjęty na rozmowę przez samego Gomułkę:

> Pisarz mówił, że jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę – s. 358.

Nawet jeżeli w tle może kryły się rozgrywki wewnętrzne w ramach PZPR, których nie znamy – to opisywane zjawisko było jednak głębsze.

Wańkowicz, pisarz opozycyjny, procesował się z Tadeuszem Walichnowskim – czołową postacią moczaryzmu, jedną z głównych postaci ofensywy marcowej, jedną z najmocniejszych postaci ówczesnego establishmentu policyjnego. Dobrze, procesował się o to, że tamten w swoim dziele napisał, iż „Na tropach Smętka" przyczyniło się do śmierci wielu osób (wskazując je Niemcom). Niemniej jednak procesował się. Proces zresztą wygrał – co niestety niewiele mu przyniosło, gdyż nie dożył wyroku.

Ten system był niekoherentny, niespójny, zaś Wańkowicz swoją postacią i swoją twórczością, nawet okrawaną, ową niekoherencję powiększał. W Polsce czytano „Bitwę o Monte Cassino", nawet jeśli okrojoną, w wielkich nakładach, nieporównywalnych z ewentualnym przeszmuglowaniem pewnej liczby tej książki z Zachodu – co pewno miałoby miejsce, gdyby tam pozostał. Barwność postaci pisarza też była elementem

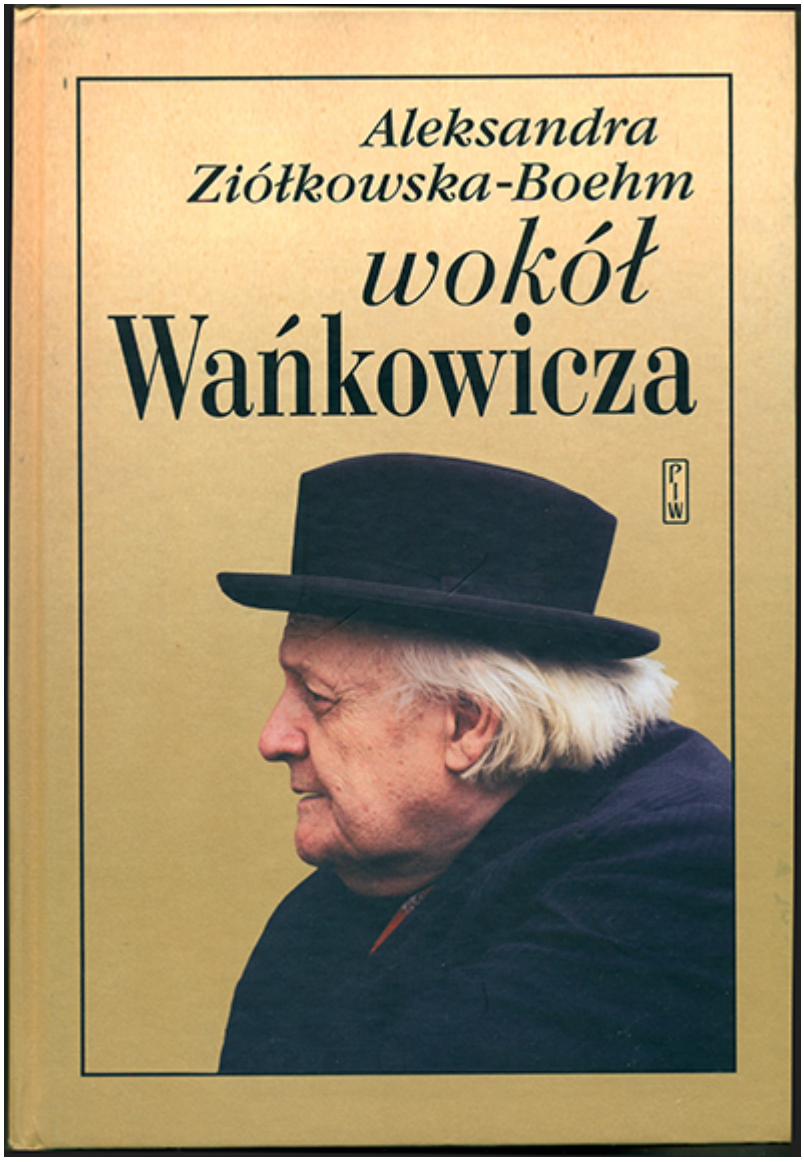
zdrowia w niezdrowej PRL. Choćby dla takich przyczyn cenne było, że wrócił – wbrew wszystkim krytykującym ten jego krok.

Z punktu widzenia cech systemu PRL – pomijając oczywisty ludzki aspekt sprawy – ciekawe są ostatnie momenty życia pisarza. Aleksander Małachowski odnotował:

> Umierający Melchior Wańkowicz wezwał moją żonę oraz mnie i przez wiele nocnych godzin przekonywał nas, dlaczego nie możemy dopuścić, by mu sprawiono uroczysty, państwowy pogrzeb. Oni – mówił – zechcą to zrobić nie dla mnie, ale po to, by się sfotografować przy mojej trumnie.

Pisarz wyraził życzenie, by w nagrobku na rodzinnym grobie nie naprawiać rzeźby uszkodzonej kulą wystrzeloną podczas Powstania Warszawskiego. Skądinąd dziś powszechnie uważany za nieskończenie tępiony Kościół, wysyłał księdza z ostatnią posługą choć Wańkowicz o niego nie prosił. W pogrzebie uczestniczył minister kultury, pogrzeb prowadzil jeden z biskupów, kamery TV filmowały (unikając widoku księży w kadrze), SB spisała swoje raporty z pogrzebu, cenzorskie zapisy w sprawach związanych z Wańkowiczem trwały, rzecz jasna, po jego śmierci. W sumie: totalne pomieszanie, ale lepiej było tak, niż inaczej.

Last but not least, dla historyka ciekawe jest widoczne w sprawach Wańkowicza długie trwanie pewnych spraw dziejowych. One się w Polsce – choć nie tylko tu – nie mogą skończyć, niektóre nawet odradzają się. Za PRL niektóre były wyciszane, ale może tym bardziej żyły. Gomułka pomówił Jasienicę o sprawy z grubsza ćwierć wieku wcześniejsze – a potem miała miejsce okropna rozmowa Wańkowicza z umierającym. Upadł komunizm, a Polska wciąż żyje historią. Inni teraz mówią o Wałęsie sprzed pół wieku. Mnóstwo ludzi jest przekonanych, że tak trzeba i że w ogóle można rozwiązać wszystkie dawne sprawy. Także o tym, że o obraz przeszłości trzeba walczyć (w praktyce przy odwołaniu się do niego trzeba walczyć z przeciwnikami). W sumie: mało to zachęcające, przynajmniej z punktu widzenia historyka, który wolałby widzieć poparcie dla badań niż boje prowadzone w ramach tzw. polityki historycznej.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Wokół Wańkowicza, PIW, Warszawa 2019, s. 696

Recenzja Marcina Kuli ukazał się w PAMIETNIKU LITERACKIM, Londyn, grudzień 2019 r.

*

Zobacz też:

„King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.